

WSPOMNIENIA

Wspomnienia Dominika Wośki

Wyjazd na front

11 czerwca 1917 roku została zorganizowana nasza marszowa kompania. Dowódcą kompanii został praporszczyk Nielepa (Ukrainiec), feldfeblem (szef kompanii) Siniagin (dawny dowódca 4 plutonu), dowódcą 4 plutonu starszy unteroficer (plutonowy) Wośko. Dowództwo nad tym 4 plutonem objąłem z wyraźną niechęcią, gdyż z tymi żołnierzami nic mnie nie łączyło w czasie ćwiczeń. Żołnierze mnie nie znali, a ja ich. Siniagina znałem bardzo mało. W czasie ćwiczeń on dowodził 4 plutonem, a ja ćwiczyłem żołnierzy 1 plutonu.

Następnego dnia odbyło się na placu ćwiczeń na stepie prawosławne nabożeństwo z udziałem chóru i orkiestry wojskowej. Po obiedzie prosiłem nowego feldfebla o zwolnienie mnie na kilka godzin do miasta celem pożegnania się ze znajomymi, na co mój szef chętnie się zgodził. Spakowałem wszystkie swoje manatki w jeden duży pakunek, napisałem na nim chemicznym ołówkiem swoje nazwisko i dałem pod opiekę dowódcy 1 drużyny 4 plutonu z zaznaczeniem, aby w razie mego spóźnienia ten pakunek umieścić na furgonie towarzyszącym naszej kompanii i mnie reprezentował w czasie marszu do stacji kolejowej.

W domu Żaka, gdzie był ośrodek polonijny, spotkałem kilku znajomych Polaków. Porozdawałem im swoje osobiste drobiazgi, między nimi pamiątkowy egzemplarz *Pana Tadeusza* – dar księgarza w Piotrogradzie. Nie czekając na marszową kompanię, spacerkiem udaliśmy się w stronę stacji kolejowej. Niebawem usłyszeliśmy grę wojskowej orkiestry. To kompanie z czerwonymi flagami maszerowały na punkt zborny, gdzie mieliśmy wsiadać do wagonów. Żołnierzom towarzyszyły tłumy odprowadzających żołnierzy na front. Odnalazłem swój pakunek i stanąłem przy swoim 4 plutonie. Szef kompanii Siniagin zwrócił się do mnie z propozycją, że on zaopiekuje się w czasie podróży 4 plutonem, a ja mogę jechać z kim tylko chcę. Wykorzystałem tę propozycję i zająłem miejsce w wagonie ze znajomymi mi żołnierzami 1 plutonu. Pożegnałem się ze znajomymi kadrowymi, z którymi pracowałem 2 lata 2 miesiące 21 dni (810 dni): dowódcą kompanii Demczenką, starszym nauczycielem Głuchowym.

Pociąg ruszył na zachód, orkiestra zagrała na pożegnanie marsza, pozostali na stacji krzyknęli: „Ura, ура”, a my wychyleni przez okna i drzwi pomachaliśmy na pożegnanie rękami. Pociąg pomknął pełną parą. Wkrótce przejechaliśmy stację pasażerską, potem z łomotem minęliśmy most na Uralu, niebawem zniknęły nam z pola widzenia miejskie domy. „Proszczaj raz na wsięda Orenburg” („Żegnaj raz na zawsze Orenburgu”). Pociąg pędzi całą parą, zatrzymuje się tylko na tych stacjach, gdzie uzupełnia paliwo, wodę, lub tam, gdzie wysiada-

liśmy na obiad. Po południu, po przejeździe przez stepy zatrzymaliśmy się na obiad w Buzułuku.

13 czerwca obiadu w Syzranii nie dostaliśmy, gdyż telegram był spóźniony i kucharze nie zdążyli ugotować. W zamian za to otrzymaliśmy pieniądze, za które kupiliśmy suche prowianty. W nocy pociąg przejechał trzeci i ostatni raz Wołgę. Na stacji kolejowej w Penzie żołnierze domagali się zwolnienia na parę dni, aby odwiedzić rodziny. Otrzymali odmowną odpowiedź. Około 20 żołnierzy samowolnie opuściło pociąg, ale po kilku godzinach dopędzili nas i dołączyli do kolegów.

15 czerwca zatrzymaliśmy się na obiad na stacji Riazań. Nocą pociąg przejechał przez Tułę i zatrzymał się po 10 godzinach na obiad w Kałudze.

Na jednej z mniejszych stacji pociąg zatrzymał się na całą noc. Rano na stacji było dużo kobiet, które pociągiem wojskowym chciały przejechać do bliskich stacji. Żołnierze w wagonach wręcz odmówili im wsiadania. W jednym wagonie żołnierze zgodzili się je zabrać ze sobą. Uszczęśliwione kobiety prędko rozmieściły się w wagonie. Gdy pociąg nabrał rozpędu, żołnierze pozamykali drzwi i okna i bezceremonialnie zaczęły napastować niewiasty, które wykorzystawszy odpowiedni moment zdołały w biegu wyskoczyć z pociągu. Pozostała jedna matka z dwiema córkami. Teraz całą energię żołdacy skierowali na córki. Przewracali je, zrywali sukienki, dusili za gardło. Nic nie pomagał płacz, prośba. Jedni drugim siłą wydzierali sobie z rąk ofiary. Z trudem udało mi się otworzyć drzwi, krzycząc ile miałem sił. Skonsternowani niektórzy żołnierze wycofali się z „przygody”, kłębowisko trochę się rozluźniło. Zrozpaczona matka wypchnęła z wagonu jedną, a po chwili drugą córkę, a potem sama wyskoczyła w pełnym biegu. Zagroziłem, że jeżeli się to kiedyś powtórzy, to zatrzymam pociąg i oddam ich w ręce żandarmerii polowej. Popatrzyli na mnie złowrogo, jakby chcieli zapamiętać mój wygląd i wyciągnąć tragiczną dla mnie konsekwencję na froncie. O tym i ja pomyślałem i postanowiłem pokrzyżować ich plany przy najbliższej okazji. Jaki los spotkał te kobiety, nie dowiedzieliśmy się nigdy.

19 czerwca na dłuższy postój zatrzymał się pociąg w Równem. Wysiadłem z wagonu i skierowałem swe kroki w stronę stacji, a za sobą usłyszałem słowa: „Pewnie idzie zameldować żandarmerii lub naczelnikowi stacji”. Wkrótce dowódca kompanii oznajmił żołnierzom, że tutaj mamy stać pół godziny na obiad. Można wyjść na stację. Wykorzystałem ten czas na pobieżne zwiedzenie miasta. Stacja była spalona, teraz częściowo odbudowana. Ludność miasta stanowili Żydzi, Polacy i Rosjanie. Na pierwszym planie był duży, ale ubogi, choć czysty kościół na wzgórzu. Ciekawa była ambona z daszkiem, zakończona na górze trzema wysmukłymi gotyckimi

wieżyczkami, strzelającymi śmiało do sklepionego sufitu. Sklepy częściowo zamknięte.

Wieczorem 20 czerwca przyjechaliśmy do Łucka, ostatniej stacji szerokotorowej kolei żelaznej. Stacja kolejowa zupełnie spalona, koszary rozbite, większość domów spalona, zburzona; ludzi cywilnych na mieście mało, Żydów znacznie mniej niż w Równem. Kompania zatrzymała się w jakiejś drewnianej szopie. Nad miastem królował zamek księcia Lubarta z dwiema wieżami. Zamek wewnątrz wypalony, ściany zburzone, pełno dokoła gruzów. Wewnątrz na dziedzińcu pobudowana szopa dla żołnierzy. Przy jednej ze ścian zachował się stary dom, zajęty przez wojsko i komisję poborową, a przy nim pomnik z rosyjskim napisem: „Lubartowi”.

Przy ulicy Nieborskiej stoi wspiana kościół w stylu romańskim, utrzymany na zewnątrz i wewnątrz w należyty porządku i czystości. [...] W odległości 300–400 metrów dalej był inny kościół katolicki, którego nie zwiedziłem, ponieważ był zamknięty. [...] Kościół ten zakończony był jedną strzelistą wieżą, podobną do gotyckiej.

O zmierzchu pomaszzerowaliśmy w stronę stacji przy wąskotorowej linii kolejowej. Po trzech godzinach jazdy wysiedliśmy na ostatniej stacji Czarny Bór, położonej pośród dużego lasu. Noc ciemna, teren nieznan, brak zabudowań, brak przewodnika. Z lewej strony słychać jakieś głosy, a pomiędzy drzewami i krzakami migają jakieś światełka, przypominające ogniki świętojańskie. To żołnierze wyładowują pociski armatnie z wagonów i układają je w krzakach pomiędzy dwoma dębami. Informują mnie, że tu w pobliżu nie ma żadnej wsi, sami nocują w namiotach przy torze. Dowódca Nielepa stanął wśród nas bezradnie, nie wie jaką podjąć decyzję. W ciemną noc nie możemy godzinami szukać byłych osiedli. Rozłożona mapa sztabowa zdezaktualizowana. Osiedla są tylko na papierze, bo rzeczywiste wsie w większości zostały spalone podczas działań wojennych. Wyciągnęliśmy kompanię czwórkami i ułożyliśmy się do snu w owsie mokrym od nocnej rosy. Poranny chłód obudził nas ze snu, a promienie słoneczne ogrzały nas i osuszyły.

21 czerwca o godzinie 7 rano otrzymaliśmy śniadanie-obiad, który spożyliśmy z wilczym apetytem. Dowódcy kompanii ustawili nas w dwuszeregu. Najpierw zgłosiła się delegacja ze szturmowego batalionu przy 8 Turkiestańskiej Strzeleckiej Dywizji i zaczęła agitować, zachęcając żołnierzy do ochotniczego wstępowania do batalionu. Żołnierze nie kwapili się, namyślali się przed podjęciem decyzji. Kiedy nam objaśniono, na czym będzie polegała nasza służba, zaczęli niektórzy występować na krok naprzód, zgłaszając tym sposobem chęć wstąpienia w szeregi zachwalanego batalionu. W ostatniej chwili zgłosiłem się i ja. Później mocno zastanawiałem się nad tym, czy dobrze postąpiłem, ale już za późno było się wycofać. Sformowali nas i odprowadzili na bok. Resztę żołnierzy podzielili na grupy stosownie do ilości delegacji pułkowych i rozeszliśmy się do nowych formacji. Decydującym faktem mojego wyboru była chęć odczepienia się od tych żołnierzy, którym przeszkodziłem w wagonie w czasie podróży dokonania gwałtu nad bezbronnymi kobietami. Może w ten sposób rozstałem się ze swoimi wrogami.

Na miejscu pobytu batalionu rozdzielili nas do poszczególnych kompanii 1 plutonu. Ja dostałem się do 1 kompanii, stacjonującej we wsi Budki. Tutaj porządnie wypoczęliśmy po trudach podróży, uprzyjemniając sobie życie konsumowaniem prosto z drzewa czereśni, wiśni oraz wypijaniem większych ilości świeżego mleka, którego od kilku miesięcy nie miałem w ustach. Dowódca batalionu kapitan Cziczua (Gruzin) zapoznał nas z działaniem i obsługą kulomiotu maszynowego firmy „Maxim”. Żołnierze odmówili ćwiczeń marszowych, motywując tym, że już te ćwiczenia obrzydły im na tyłach frontu.

26 czerwca wyruszyliśmy o zmroku w stronę frontu. Maszerowaliśmy milcząc, bez marszowego rytmu, niosąc karabiny na ramionach, prosto w rękę lub przewieszzone na rzemiennym pasku przez ramię. Po drodze szeptem dzieliliśmy się uwagami o mijanych pustych okopach. Naraz na kilkadziesiąt kroków rozległy się wystrzały armatnie w stronę pozycji austriackich. Dowódca kompanii półgłosem podał rozkaz zaprzestania palenia papierosów. W szeregu podawano to zarządzenie drogą łańcuchową. Żołnierze wiedzieli, że zbliżamy się do frontu, że nie wiadomo, co się dalej z każdym może zdarzyć. W wąwozie zatrzymali nas i podzielili: 2, 3, 4 pluton obejmie zmianę na pozycji, a 1 pluton razem ze mną zostaje tutaj w rezerwie. Wywiad austriacki zauważył tę zmianę żołnierzy na przedniej linii okopów. Posypały się pociski armatnie z dział austriackich, zagrały karabiny maszynowe i chaotyczne strzały karabinów ręcznych. Na całej długości okopów austriackich wyleciały w powietrze setki rakiet, oświetlając przedpola obu frontów celem rozeznania, czy z rosyjskich okopów nie rusza tyralierka do walki na bagnety. To trwało około jednej godziny, a potem wszystko ucichło.

Rano rozeszła się pogłoska, że jeden Polak i dwóch Rosjan uciekło do niewoli austriackiej. Rosjanie wrócili do swoich jednostek, a Polak pozostał w niewoli i wieść o nim przepadła.

27 czerwca w nocy przyniesiono jednego żołnierza zabitego, który nieostrożnie wychylił się z okopów, chcąc zobaczyć co się dzieje na przedpolu. Kula trafiła go w pierś, powodując śmierć na miejscu. Dwoch żołnierzy zostało rannych. To były pierwsze ofiary naszej kompanii. Wiadomości te i śmierć sprawiły przygnębiające wrażenie na pozostałych żołnierzach. Na miejsce 4 kompanii zajęliśmy okopy. Pozycje austriackie ciągnęły się nieprzerwaną linią na suchym wzgórzu w odległości 300 kroków od rosyjskich, położonych pod górką, przerywanych błotami i moczarami. Wieczorem po rzęsimym i dłuższym deszczu te okopy zostały zalane wodą i błotem po kolana.

2 lipca nasza półkompania była na noc wysunięta na strażniczą placówkę oddaloną w stronę przeciwnika od naszych okopów na około 140 metrów. Austriacy całą noc oświetlali teren rakietami, przy świetle których widać było dobrze kolczaste druty na słupkach (zaseki) zagrządzające dojście do okopów. Zajęliśmy miejsca w płytkich pojedynczych okopach, obserwując, co się dzieje w tym czasie u wroga. Korzystając z chwilowych przerw w oświetlaniu rakietami, zrywaliśmy dużą trawę i podścielaliśmy pod siebie w tych okopach. To niewiele pomagało. Deszcz w dalszym ciągu padał. Nie ma żad-

nego sposobu zabezpieczyć się od wody. Przemoknięty do ostatniej suchej nitki muszę leżeć w okopie w błocie, na deszczu. Nawet głowy z okopu wysunąć nie można, bo strzelcy tylko na to czekają, aby ją kulą przeszyć, a ja chcę jeszcze żyć. Ręce i nogi z zimna zeszywniały, dreszcze po ciele przechodzą, a strzelanina nie ustaje. Końca nocy nie mogę się doczekać. Na wschodzie niebo troszkę się przejaśnia – nadchodzi poranek. W naszych okopach na strażniczej placówce słychać ciche kumkanie żaby. To jest umówiony sygnał do odwrotu. „Kum, kum” powtórzyło się parę razy. Na czworakach wylazimy z naszych dołków i cofamy się ku naszym okopom. Gdy rakietą leci do góry, my w bezruchu przywieramy do ziemi, błogosławiąc trawę, która nas chroni przed okiem strzelca. Przelazimy pod drutami własnych okopów w umówionych i znanych nam miejscach. Jestem w głębokim okopie, mogę przybrać ludzką postawę, wyprostować zdrętwiałe kończyny.

Skierowałem kroki do ziemianki z myślą, że w suchym miejscu można będzie usiąść, niestety i tu błoto rozdeptane po kolana, buty grzęzną, że z tej mazi trudno je wyciągnąć. Po ścianach okopu spływa woda z błotem. Okopy głębokie, wąskie, trudno się z drugim żołnierzem minąć, aby nie obetrzeć się o ścianę i nie nabrać na siebie nowej porcji błota. Cały mój rynsztunek żołnierski przemoczony, nie mam nawet suchej czystej bielizny. O rozpaleniu ogniska, ogrzaniu się i wysuszeniu na sobie umundurowania mowy być nie może, gdyż Austriacy mieliby widoczny cel i w stronę dymu skierowaliby ogień armatni.

Całe szczęście, że kucharz przywiózł z rezerwy wczorajszy obiad, dzisiejsze śniadanie i na zapas dzisiejszy obiad w nocy, gdyż w dzień wróg drogę przez wzgórze w czasie przejazdu kuchni gęsto ostrzeliwał z armat. Opowiadał jak go wykryto światłem reflektorów i ostrzeliwano. On pędził, ile tylko konie miały siły, kuchnia kilka razy wywróciła się do góry kołami, a on pędzi dalej, znów stanęła na koła, pędzi dalej. Udało mu się żywym dojechać do głodnych, zagubionych w polu żołnierzy. Ale jaki to był wikt? Zupa kartoflana zaprawiona jęczmienną kaszą, na drugie danie dostaliśmy po dwie rybki suszone z chlebem („obły”). To było całe pożywienie na dwa dni. Całe szczęście, że zupa była gorąca, gdyż w czasie tej jazdy paliło się drewno na ognisku pod kotłem. Kucharz z furmanem musieli się spieszyć, aby przed wschodem słońca przepawić się przez tę niebezpieczną górę do swojej bazy. Po spożyciu pożywienia rozgrzałem się trochę od wewnątrz. W poszerzonej części okopów, służącej do mijania się żołnierzy, przenoszenia rannych, wykopałem sobie małą łopatką wnękę, gdzie była ziemia mniej przemoknięta, usiadłem i zasnąłem w pozycji siedzącej.

Część żołnierzy bacznie przez peryskopy obserwuje przedpole, aby nie dać się zmienacka zaskoczyć przez wroga, część przytuliwszy się do ściany okopu gra w karty

w „oczko”. Słychać pokrzykiwania: „Dawaj” albo „Dował mu”. Coraz to któryś inkasuje „bank”, a inny splukawszy się do kopiejki, odchodzi markotny, że mu szczęście nie dopisało, a na jego miejsce siada drugi. Jeżeli pocisk armatni rozerwie się w pobliżu, słychać głosy: „Gospodi pomiluj”, przeżegnawszy się, znów kontynuują grę. I znów huk, i znów westchnienie: „O, preczystaja Boża Matieri pomogi”, a potem przekleństwo: „Job twoju mat’. Czut’, czut’, a to by ubił”. Co raz po każdym wybuchu inni wołają: „Ałłach, Ałłach” – to są Tatarzy, Baszkirzy i inni mahometanie, tylko polskiego słowa nigdzie nie słychać.

Wypad

Na drugą noc dowódca, kapitan Cziczua, zorganizował wypad. Ruszyliśmy tyralierą w stronę przeciwnika. Noc ciemna, deszcz dalej siąpi. Kierunek marszu wskazują nam wypuszczane rakiety austriackie. W chwili podnoszenia się rakiety do góry każdy z nas przycupnął do ziemi i w czasie zawisnięcia rakiety na spadochroniku i oświetlenia terenu pozostajemy w bezruchu w gęstej trawie. Rakietą spaliła się, my znowu przyspieszonym marszem zbliżamy się do strażnicy austriackiej. Przy świetle rakiety widać okopy wroga. Środek tyraliery zwolnił kroki, a flanki przyspieszyły. Na gwizdek dowódcy otoczyliśmy strażnicę i, o dziwo, tam nikogo nie było. Wycofujemy się. Tyraliera przekształciła się w bezładną płataninę żołnierzy. Trzeba uważać, aby nie wpaść w jakąś zasadzkę, albo nie strzelać do swoich po ciemku. Przed poruszaniem się jakiejś postaci lekko uderzamy ręką po karabinie dwukrotnie. Jeżeli to jest żołnierz rosyjski, to powinien po swoim karabinie ręką uderzyć trzy razy. Jeżeli tego nie uczynił, to znaczy, że nie zna umownego sygnału i jest przeciwnikiem. Wtedy bierzemy go do niewoli, a w razie ucieczki wolno do niego strzelać. Po kilku godzinach stanęliśmy nad moczarami, które oddzielały przeciwników. Musiałem brzegiem dłuższy czas szukać przejścia przez wodę, wyłożonego matami uplecionymi z chrustu.

Zebraliśmy się w swoich okopach, policzyli czy kto nie zaginął. W tym czasie dowódca pokazał nam dwóch Austriaków, którzy byli wysłani w podobnym celu na zwiady. Od nich dowiedzieliśmy się, że Austriacy otrzymali niemieckie posiłki, gromadzą zapasy broni. Z samego rana posypały się bomby i pociski armatnie na nasze okopy; rosyjska artyleria odpowiedziała swymi salwami. Padło kilku zabitych i kilkunastu rannych. Rosyjska artyleria skierowała duży ogień na balon austriacki na uwięzi do obserwacji. Balon zmuszono do ściągnięcia go na dół.

*Wybrał i do druku przygotował
Tadeusz Surdacki*

Kazimierz Cieśliski ps. Chrobry

Ostatnie dni niewoli pod Kraśnikiem

Walka z żandarmami

Zgrupowanie partyzanckie Armii Krajowej pod dowództwem sierżanta Eugeniusza Podrygalskiego ps. Sokół w liczbie 48 ludzi zaległo w wyrwach wąwozu Wodończa. Wąwóz ten, porośnięty lasem, nieregularnego kształtu, otwarty od strony miasta Kraśnika, przecina szosę Urzędów–Kraśnik w odległości 2 km od miasteczka Urzędów. Jest dzień 25 lipca 1944 r.

W tym czasie w Kraśniku stała silna załoga niemiecka, a miasto było usytuowane na linii odwrotu wojsk niemieckich z Lublina przez Kraśnik, Annopol i dalej przez Wisłę na Ostrowiec Świętokrzyski. Urzędów oddalony 10 km na północ od Kraśnika był miejscem zgrupowania poważnych sił partyzanckich.

Wspomnianą szosą, którą obecnie ryglował oddział partyzancki, w poprzednich dniach przejechało kilkanaście samochodów z wojskiem niemieckim w kierunku Urzędowa, chcąc minąć zatłoczoną szosę Lublin–Kraśnik–Annopol i boczną drogą dojechać do Wisły. Wszystkie te samochody dostały się do niewoli w Urzędowie. Bez rozlewu krwi. Zginął wówczas tylko 1 żołnierz niemiecki. Była to więc szosa o większym znaczeniu dla Urzędowa.

Uzbrojenie zgrupowania stanowiło: 1 lekki karabin maszynowy polski, kilka „stenów” i kilkanaście karabinów różnych typów. Dowódca miał broń krótką. Granatów nie mieliśmy.

Kilometr od wąwozu w kierunku Kraśnika na skraju lasu została wystawiona czujka złożona z dwóch strzelców. W wąwozie w poprzek szosy leżało ścięte drzewo oraz kolce uniemożliwiające ewentualny przejazd przez szosę.

Stanowisko dowodzenia usytuowane było w wąwozie w zaroślach blisko szosy. Dowódca miał do dyspozycji aparat telefoniczny podłączony do linii telefonicznej Urzędów–Kraśnik. Oczywiście linia ta została przecięta od strony Kraśnika, a aparat był połączony z Urzędowem – z pocztą i punktem dowodzenia. Dzięki temu wiedzieliśmy, co się dzieje w Urzędowie i na odwrot.

Było słoneczne, ciche popołudnie. Od strony Kraśnika słychać było daleki, głuchy warkot motorów cofającej się w kierunku Wisły armii niemieckiej.

Nagle od południowego zachodu od strony wsi Wyżnianka odezwały się dalekie huk wystrzałów, potem ukazały się kłęby dymu. Dym rósł, potężniał. Wieś paliła się. Jak się później dowiedzieliśmy, miejscowy oddział Batalionów Chłopskich zaatakował w tej wsi cofających się Niemców. Ci w odwecie podpalili wieś.

Wtem czujka daje znaki, że od strony Kraśnika zbliżają się Niemcy. Zalega pełna skupienia cisza. Pomału na szosie z za wzgórza wyłaniają się dwa chłopskie wozy dwukonne. Na wozach siedzi po kilku niemieckich żandarmów. Powoli, spokojnie zjeżdżają z pagórka, zbliżając się do nas.

Z chwilą, gdy wozy znalazły się w połowie wzgórza – odezwał się karabin maszynowy. Celowniczy „Lot” dobrze

celował po koniach. Po chwili słychać było kwik ranionych zwierząt, łoskot walących się na ziemię ich ciał, trzask łamanych dyszli. Wtedy seria poszła po żandarmach. Ci wyskoczyli z wozów i zalegli tyralierą w zbożu po prawej stronie szosy, ostrzeliwując się.

Zaskoczenie było tak wielkie, że kilku żandarmów wyskakując z wozów nie dążyło zabrać karabinów z kozłów sterczących im przy kolanach.

Partyzancka tyraliera strzelając gęsto – a jeszcze głośniejszym krzyżąc „hurra” zbliżała się do nich. Pamiętam, byłem wtedy prawym łącznikiem. Karabin mój to był stary, rozsypujący się austriacki Manlicher z I wojny światowej. Razem z innymi biegłem przez wysokie zboża, strzelałem i krzychałem: „Hurra”. Nie pamiętam, kto dopadł pierwszy do pustego już wozu i chwycił niemiecki karabin z kozła. A swój – dużo lepszy od mojego – oddał mnie.

Za szosą, w zbożu dopadliśmy ich. Obok kolega Zygmunt Goliński ps. Zenon jęknął i upuścił karabin. Żandarm z pistoletu strzelił do niego, kula przeszła przez przedramię. Rannego wycofaliśmy do tyłu. Nie chciał iść. Żandarm, który postrzelił naszego kolegę zginął na miejscu. Dostał kulę w pierś. W ogólnym zgiełku walki słyszałem jego kilkakrotnie: „Ach! ach!”

Tymczasem strzelanina trwała. Jeden z żandarmów dostał się do niewoli, jeszcze dwóch zginęło. Zlikwidowali ich strzelcy: Ryszard Gałkowski ps. Bem i Ignacy Wośko. Kilku żandarmom udało się zbiec w kierunku Kraśnika Fabrycznego. Jednego z nich dosięgła kula już na skraju lasu. W tym czasie strz. Jan Wójtowicz dał mi zawiniątko z białego płótna z poleceniem, bym się z nim wycofał na tyły i strzegł jak oka w głowie. Cofnąłem się do wąwozu, trzymając w ręku owo zawiniątko. Miało ono wagę ok. 0,5 kg i składało się z jakichś drobnych, twardych przedmiotów. Oczywiście do głowy mi nie przyszło, żeby zajrzeć co to było. Byłem zbyt słuźbiście nastawiony, by zaglądać do środka.

Strz. Wójtowicz powrócił z pogoni za zbiegłymi żandarmami i poprosił mnie o zwrot tego zawiniątko. Oddałem mu je. Wkrótce strz. Wójtowicz opuścił zgrupowanie.

W kilka dni potem do Urzędowa weszła Armia Czerwona, a oddziały partyzanckie zostały zdemobilizowane.

W początkach października (tuż przed aresztowaniem) stałem wieczorem na chodniku na rynku w Urzędowie obok domu Chudzickiego. Wieczór był wyjątkowo ciemny. Usłyszałem jakieś podniesione głosy. Zbliżyłem się niepostrzeżenie i podsłuchałem kłótni Wójtowicza z Witoldem Wysockim. Z niej dowiedziałem się, że to zawiniątko – to były przedmioty złote (pierścionki, kolczyki z drogimi kamieniami itp.), które Wójtowicz odebrał żandarmom i zabrał sobie opuściwszy zgrupowanie. W tej kłótni byłem i ja wymieniony. Oczywiście Wójtowicz zaprzeczał wszystkiemu. Tak więc przy okazji dowiedziałem się, ile złota trzymałem w ręku – i nie potrafiłem nic z tego wziąć dla siebie.

Strzały ucichły, chłopcy rozgrzani walką z Niemcami oglądają trofea. Były to dwa wozy załadowane żywnością, papierosami, kocami. Było też kilka sztuk broni krótkiej i dużo różnej amunicji. Ocalał jeden koń. Żywy żandarm został doprowadzony do „oboza”, tzn. szałas w pobliskich krzakach, gdzie przebywał dowódca. Żandarm ów drżał jak liść, głosu z siebie wydobyć nie mógł. Dopiero po upływie dłuższego czasu wykrztusił, o dziwo w najczystszej polszczyźnie: Ja ani jednego Polaka nie zabiłem”.

Pamiętam, i ja podszedłem do Niemca i trochę chcąc się pochwalić swoją znajomością języka niemieckiego – a trochę poszydzić z żandarma – zagadałem do więźnia. Żandarm milczał, a wartownik tak mnie popędził, że szybko znalazłem się na odległym stanowisku bojowym. W końcu dowódca odpędził chłopców od trofeów i rozesał na stanowiska, oczekując dalszych Niemców.

Wziętego do niewoli żandarma strz. Ryszard Gałkowski ps. Bem i Jan Złotnicki ps. Żbik doprowadzili do Urzędowa, do aresztu gminnego, gdzie skończył marnie. Gdy wzięty do niewoli żandarm siedział w areszcie gminnym, na rynek wjechały niemieckie zmotoryzowane oddziały frontowe. Od rynku do aresztu gminnego odległość wynosi ok. 50 m i gdyby ów żandarm krzychał – na pewno żołnierze niemieccy z rynku by go usłyszeli i oswobodzili. A Urzędów zrównaliby z ziemią. Na szczęście tak się nie stało. Może żandarm myślał, że to już weszły oddziały Armii Czerwonej i dlatego milczał? Potem wypadki potoczyły się szybko. Żandarm został uduszony przez jednego z partyzantów. Jego zwłoki zabrał z rynku niejaki Mazur i wrzucił do gminnej kloaki. Na szczęście wojsko niemieckie nie dowiedziało się o tym i Urzędów ocalał. Całą drogę już po niemiecku mówił: „Hitler kaput”.

Noc oddział spędził w wąwozie na stanowiskach. Przez całą noc latał nisko nad nami rosyjski samolot.

Na drugi dzień przed południem otrzymujemy telefon z Urzędowa, że na rynek wjeżdża zmotoryzowane wojsko niemieckie. Wkrótce też od strony Urzędowa ukazał się na szosie czołg niemiecki – bez znaków – i zaczął zjeżdżać w dół w stronę wąwozu.

Oddział, nie czekając długo, zabrał broń oraz amunicję i przez wysokie zboża zaczął się wycofywać na zachód w stronę dzierzkowickiego lasu. Ale niedaleko zaszliśmy. Niemcy z czołgu zobaczyli ślady walki: zabite konie, wozy stojące w poprzek jezdni, drzewo zwalone na drogę.

Czołg zawrócił i pojechał do Urzędowa. Wtedy my wróciliśmy do wozów, zaprzęgliśmy ocalałego konia do jednego z wozów. Na wóz włożyliśmy cenniejsze rzeczy po żandarmach: broń, koce, żywność, papierosy. Każdy z nas dostał koc. Zrolowaliśmy je i przełożyli sobie przez ramię. I tak z jednym wozem wycofaliśmy się do dzierzkowickiego lasu. Tam rozłożyliśmy się obozem ok. 100 m od skraju lasu.

Po rozstawieniu ubezpieczenia oddział odpoczywał, posilał się niemieckimi zapasami. Wrócił patrol od strony wsi Wyżnica z wiadomością, że wsią ciągną nieprzerwanie niemieckie wojska zmotoryzowane. Było to w niewielkiej odległości od nas i loskot gąsienic zaczął dochodzić i do naszych uszu. Od strony Urzędowa słychać było podobne odgłosy. Wtedy, pamiętam, strz. „Bem” powiedział: „Zdaje się, że nas tu szlag trafił”. Ale nie trafił.

Do południa przebywaliśmy w dotychczasowym miejscu. Potem lasem, marszem ubezpieczonym przeszliśmy w kierunku Urzędów–Bęczyn, wykorzystując lukę jaka powstała na drodze Urzędów–Dzierzkowice–Wisła. Lukę w cofającej się armii niemieckiej. Drogę tę przekraczaliśmy w wielkiej ostrożności. Tym razem jednak Niemców tu nie było. Minawszy bagna o regionalnej nazwie „Bajury”, zalegliśmy obozem w lesie za Bęczynem. Było to duże zgrupowanie kilku oddziałów partyzanckich.

Pamiętam, od swego oddziału oddaliłem się nieco w las i nieopatrznie wszedłem w środek obozu „żandarmów” niemieckich. Zaskoczenie było olbrzymie. Minę musiałem mieć nietęgą. Przez 4 lata drżałem przed takim mundurem – i oto jestem nimi otoczony. Ale poczciwe gęby naszych „Jasiów” wyzierające spod żandarmskich czapek, ich otwarte w śpiewie usta i przyjazne oczy przekonały mnie, że jestem wśród swoich. A oni, widząc mój przestach i moją niezbyt mądrą minę, zaśmiewali się ze mnie. Pamiętam, śpiewali piosenkę partyzancką: „Haj, haj, chłopcy lasu...”.

Noc spędziliśmy w lesie. Przez Urzędów dalej ciągnęło wojsko niemieckie w kierunku Wisły na Dzierzkowice. A my przyczajeni w lesie cały dzień czekaliśmy jeszcze na wyzwolenie. Zaczynać walkę z taką masą wojska było niepodobieństwem. Nad lasem widzieliśmy pojedynki ogniowe samolotów niemieckich z rosyjskimi. Słychać było wycie motorów, widać obłoki dymu od wybuchu pocisków i serie karabinowe z samolotów po lesie. Ale nas z góry Niemcy nie widzieli.

Na następny nocleg pomaszerowaliśmy na Bęczyn do stodoły jednego z chłopów – ob. Chęcińskiego, w lesie jeszcze byliśmy do południa dnia następnego.

Wtedy dochodzi do nas wiadomość, że w Urzędowie już są wojska rosyjskie i że ogłoszono rządy demokratyczne. Pamiętam, Aleksander Pomorski tłumaczył nam na czym te rządy polegają. Stąd wywodzi się demokracja. Miał skończoną maturę – wiedział więcej od nas. Było to 28 lipca 1944 r.

Potem zarządzono alarm, zbiórkę i w zwartym szyku ruszyliśmy lasem w kierunku na leśniczówkę przy drodze Urzędów–Dzierzkowice. Niebo nad nami i droga były już spokojne.

W pobliżu leśniczówki z przesieki leśnej wyszliśmy na drogę. Tu widzimy rosyjską piechotę w marszu w kierunku wsi Dzierzkowice i dalej do Wisły. Na nasz widok żołnierze rosyjscy z uśmiechem i głośnymi okrzykami: „A! Partizany! Zdrawstwujię!”. Zaczęliśmy się z nimi witać, całować, klepać po plecach. Potem piechota rosyjska otrzymała rozkaz dalszego marszu, a my ruszyliśmy w stronę Urzędowa. W zwartym szyku, pod bronią, przy głośnym aplauzie naszych rodaków z ulicy Wodnej doszliśmy do rynku w Urzędowie.

Tu pełno rosyjskiego wojska. Z mieszkańców miasteczka kto żyw wyległ na rynek. Każdy przyglądał się nam z ciekawością. Na rynku w Urzędowie staliśmy w zwartym szyku około godzinę. W tym czasie nasze dowództwo pertraktowało z rosyjskim wojennym komendantem miasta o naszych dalszych losach. Potem otrzymaliśmy rozkaz wymarszu na ulicę Wodną, gdzie w zagrodzie ob. Paszkowskiego ustawiliśmy broń w kozły.

Dowódca oddziału miał do nas krótką przemowę. Mówił o rozwiązaniu oddziału, o dalszej walce z wrogiem już w szeregach Wojska Polskiego.

Następuje pożegnanie z dowódcą. Żegnamy się z partyzancką bronią. Ostatni uścisk dłoni i każdy z nas nie bez skurczu serca udaje się do swojego miejsca zamieszkania.

Partyzancka epopeja zakończona.

Warszawa, marzec 1978 r.

Wykaz uczestników zgrupowania partyzanckiego AK w Wodońcy (lipiec 1944 r.)

1. Eugeniusz Podrygalski „Sokół” – dowódca
2. Jerzy Bortkiewicz „Bill”
3. Mirosław Bortkiewicz „Pikor”
4. Julian Bąk
5. Zygmunt Chudzicki
6. Kazimierz Cieśliski „Chrobry”
7. Kazimierz Dzikowski „Choina”
8. Konstanty Gajewski
9. Ryszard Gałkowski „Bem”, „Vis”
10. Leon Geneja
11. Remigiusz Gliczyński „Jarema”
12. Bogumił Goliński „Topór”
13. Lucjan Goliński
14. Zygmunt Goliński „Zenon”
15. Izydor Goliński
16. Tadeusz Grabowski „Bat”
17. Krzysztof Gruchalski „Lot”
18. Czesław Jacniacki
19. Sylwester Jacniacki
20. Jerzy Krępa „Zbik”
21. Eugeniusz Kuśmiderski „Wiśniewski”
22. Kazimierz Lewandowski
23. Hipolit Mazik
24. Edward Mazurek „Czapla”
25. Jan Moch „Bosak”
26. Tadeusz Moch „Gryf”
27. Janusz Morawski „Janusz”
28. Wacław Pajdowski
29. Włodzimierz Pajdowski „Niemen”
30. Marian Pastuszewski „Karol”
31. Aleksander Pomorski „Antoni”
32. Aleksander Przysucha „Anielski”
33. Aleksander Sabeł „Igiełka”
34. Zygmunt Tłustochowski „Wilk”
35. Ignacy Wośko „Piast”
36. Jan Wójtowicz (opuścił zgrupowanie w początkowej fazie)
37. Witold Wysocki „Wiktor”
38. Jan Złotnicki „Zbik”
39. Maciej Żórawski „Rogacz”

Wykaz jest niepełny – uczestników zgrupowania było ponad 40 osób.

Zestawił Kazimierz Cieśliski

Stanisław Gajewski

Wybrane wspomnienia o moim bracie Gabrielu Gajewskim ps. Oset

Pluton żandarmerii wojskowej dowodzony przez Mieczysława Cieszkowskiego ps. Grzechotnik miał za zadanie walczyć z okupantem i ze złodziejami. Nie pamiętam daty, ale to był rok 1943. Podczas walki z okupantem niemieckim jeden z jego żołnierzy – Eugeniusz Niewiadomski ps. Koniczyna, został ranny. Na pewien czas został zwolniony z akcji bojowych, poszedł na urlop zdrowotny. Po dłuższej przerwie, kiedy poczuł się lepiej, przyszedł do domu Jana Gajewskiego na Bęczynie, żeby spotkać się z dawno niewidzianymi kolegami. Kolegów nie zastał, ale od Jana dowiedział się, gdzie są. Mój tata powiedział Gienkowi: „Są w akcji, polują na złodziei w górzańskim wygonie. Tylko tam nie idź”. Gienek jednak nie posłuchał rady taty i poszedł na Góry. Idąc, niespodzianie znalazł się w zasadzce przygotowanej na złodziei. Kiedy nagle usłyszał: „Stój”, nie zatrzymał się. Padł strzał. Strzelił Gabriel Gajewski „Oset”. Przybiegli partyzanci. Patrzają, kim jest postrzelony człowiek, a to ich kolega Gie-

nek Niewiadomski „Koniczyna”. Kula przeszła klatkę piersiową, ale nie śmiertelnie. „Oset” rozpaczal, chciał popełnić samobójstwo. Na szczęście Gienek przeżył, wyleczył się, ale do partyzantki już nie wrócił.

Innym podobnym zdarzeniem była śmierć partyzanta Piotra Pacanowskiego „Luśni”. Partyzanci „Grzechotnika” rozstawili się szeroko w lesie pod Natalinem i czekali na złodziei. Piotrek wysunął się za daleko, a któryś z kolegów z drugiego skrzydła, myśląc, że to złodziej, strzelił. „Luśnia” zginął na miejscu. Zrozpaczonego kolegę pozostało tylko przywieźć ciało kolegi i pochować na urzędowskim cmentarzu. 14 lipca 1944 r. zginął w Kluczkowicach „Grzechotnik”.

Minęła okupacja niemiecka, zmieniło się dowództwo partyzanckie w rejonie Urzędowa. Dowództwo objął Hieronim Dekutowski „Zapora”. Wydał rozkaz Gabrielowi Gajewskiemu „Osetowi”, aby objął dowództwo placówki AK w Urzędowie. Problemem stały się uzbrojone grupy

złodziejskie grasujące w różnych miejscowościach. Partyzanci urzędowscy, powiadomieni przez pochodzące z Urzędowa uczennice, rozbroili i obili kijami złodziei, którzy okradli z bronią w rękę Szkołę Rolniczą w Kłodnicy.

Silna grupa złodziejska, grasująca dosyć szeroko, zawiązała się we wsi Suchodoły za Dzierzkowicami. Mieli powiązanie z cichym złodziejaskiem z Urzędowa. Pewnego wieczora grupa ta przyszła do Władysława Rzepeckiego na Zakościelnym, żeby zabrać mu dobrze utrzymanego konia. Rzepecki stanął w obronie swojego mienia. Napastnicy zbili, a nawet postrzelili rolnika i konia zabrali. Gabriel Gajewski jako komendant placówki, poprzez mieszkańca Zakościelnego, którego podejrzewano o współpracę z bandą z Suchodołów, przekazał ultimatum – w przeciągu 7 dni mają zwrócić konia Rzepeckiemu i zapłacić odszkodowanie za poranienie.

6 grudnia 1945 r. ok. godz. 14.30 Gabriel idący wraz z koleżanką Stasią Ciempiel został zastrzelony. Było to na drodze, na Zakościelnym, w pobliżu posesji Nowa-

czyńskich. Świadcami naoczными oprócz Stasi Ciempiel, byli idący drogą Zygfryd Andrzejewski i jego małżonka. Zabitego Gabriela przywiozło na posterunek w Urzędowie wojsko, które w tym czasie jechało drogą od Popkowie do Urzędowa. Gabriel był ubrany w wojskowe ubranie, w którym stale chodził. Powiadomiono ojca o tym, co się stało. Razem poszliśmy na posterunek. Jeden z żołnierzy wyszedł na rynek i znalazł jakiegoś furmana z Bęczyna, który zawiózł ciało Gabriela do domu.

Tej samej nocy partyzanci, koledzy Gabriela, udali się do domu urzędowskiego złodziejaska i przymusili go do wydania sprawców morderstwa. Przyznał się, że to on pokazał złodziejom, który to jest „Oset”. Wydał zabójców „Osta”, których znał, mając kontakty z hersztem złodziejskiej bandy o pseudonimie „Wuj”, lat ponad 50. Jeszcze tej nocy urzędowski złodziejask został zlikwidowany. Zabójcy „Osta”, bojąc się zemsty urzędowskich partyzantów, wyjechali za granicę Polski. Gabriel Gajewski „Oset” pochowany został na urzędowskim cmentarzu.

Stanisław Gajewski

Pogrzeby sprzed lat kilkudziesięciu

Sięgam pamięcią do czasu mojej młodości, kiedy pogrzeby odbywały się inaczej niż obecnie. Gdy człowiek zmarł, kładziono go na tzw. stołku w jego własnym mieszkaniu. Członek rodziny udawał się do Urzędowa załatwiać sprawy pogrzebu. Wstępował do stolarza Tadeusza Gałkowskiego na Mikuszewskim, aby zamówić trumnę. Stolarz przybywał do zmarłego, żeby wymierzyć długość i szerokość trumny. Druga osoba z rodziny, zwykle młoda, brała święty obrazek i szła od domu do domu sąsiadów i znajomych, powiadamiając o śmierci i zapraszając na pogrzeb.

Jeżeli człowiek zmarł w młodym wieku lub był osobą zasłużoną, to trumna wykonana była nie z desek sosnowych, a z dębowych. Zmarłego wkładano do trumny, obstawiano kwiatami. Latem mocno towarzyszyły mu muchy i wydobywał się nieprzyjemny trupi zapach. Włączano małe wiatraki obok trumny, żeby chłodzić zmarłego oraz upalano cukier, którego zapach tłumił zapach trupa.

Kiedy ustalono dzień pogrzebu, przywożono furmanką z kościoła krzyż, cztery chorągwie: dwie czarne i dwie zielone. Krzyż stawiano przed domem zmarłego, przy drzwiach wejściowych. Był on okazały, drewniany z rzeźbą Chrystusa. Uczestnicy pogrzebu mieli moralny obowiązek wejść do mieszkania zmarłego i pożegnać go krótką modlitwą. Wchodząc do mieszkania, całowali krzyż stojący przy wejściu. Kto nie wchodził na pożegnanie, nie był uważany za uczestnika pogrzebu. Konną furmanką przywożono księdza, który odmawiał modlitwę, po czym wynoszono trumnę ze zmarłym, stukając nią o próg domu, jakby zmarły żegnał swój dom. Kiedy w domu bywało cia-

sno, trumnę trzeba było wynieść oknem. Po wyniesieniu trumny jedna osoba nie uczestniczyła w pogrzebie, tylko pozostawała w domu, wietrząc mieszkanie, usuwając wszelkie zapachy i wypędzając gałęziami muchy.

Pierwszy odcinek drogi nieśli trumnę mężczyźni najbliżsi zmarłemu. Tworzył się kondukt pogrzebowy. Na przedzie niesiono krzyż z dwiema czarnymi chorągwiami. Za krzyżem szedł ksiądz Jan Łazicki z organistą Franciszkiem Barwą, następnie ludzie z wiankami i kwiatami. Dalej czterech mężczyzn niosło trumnę. Nad trumną były dwie nachylone chorągwie niesione przez dwóch mężczyzn. Za trumną szła najbliższa rodzina zmarłego, następnie wierni, modląc się i śpiewając pieśni żałobne zaintonowane przez organistę. Na pogrzeb szło bardzo wielu mężczyzn chętnych do niesienia trumny. Jak tworzyła się czwórka? Dwóch mężczyzn niższego wzrostu i dwóch wyższych, wśród nich często ja. Czwórka mężczyzn bywało nawet dziesięć, zależnie od odległości od domu zmarłego do kościoła. Biorąc pod uwagę podlesie na Bęczynie, to około 5 kilometrów. Czwórki zmieniały się mniej więcej co 100 metrów.

Często umierały młode mężatki, które nie mogły urodzić dziecka w sposób naturalny. Położnica męczyła się, jeśli płód był źle ułożony. Do porodu wzywano wiejskie babki nie mające pojęcia o porodzie. Wiele młodych położnic zmarło razem z dziećmi. Jeżeli do porodu została wezwana dyplomowana akuszerka, to w razie zagrożenia kierowała kobietę do szpitala i tam odbywał się poród operacyjny przez cesarskie cięcie, wówczas udawało się przeżyć i dziecku, i kobiecie.

Pogrzeby odbywały się w różnych porach roku. Wiosną siał deszcz, za kołnierze niosącym trumnę spływały krople deszczu. Zimą zdarzały się zawieruchy śnieżne.

Pamiętam pogrzeb Władysława Surdackiego z podlesia na Bęczynie. Zima, ślizgawica tak wielka jak mówi przysłowie „jak szklanka”. Dwóch młodych mężczyzn trzyma księdza pod rękę, żeby się nie przewrócił, a dwóch organistę, bo obydwaj dobrze leciwi. Pod trumną ja z kolegami, nie sposób utrzymać się na nogach, a droga do kościoła 5 kilometrów. Czterech kolegów trzyma nas pod rękę. Kondukt pogrzebowy idzie i wchodzi na urzędowski rynek. Dzwony witają zmarłego. Już trumna w kościele założona na katafalk. Ksiądz informuje, że msza pogrzebowa odprawiona będzie jutro o tej, a tej godzinie. Ludzie wychodzą z kościoła. Kościelny zamyka drzwi. Zapada noc. Stróż nocny słyszy wielki łomot w drzwi kościelne i krzyk mężczyzny. Stróż budzi księdza, kościelnego, gromadzi się kilka osób, które uważają, że zmarły zmartwychwstał. Kościelny otwiera drzwi i wychodzi Paszkowski, uczestnik pogrzebu, który mówi, że podczas ulokowania lekko się zdrzemnął. Gdy się obudził, kościół był zamknięty, ciemno. Przestraszony zaczął kołatać do drzwi. Zebrani mieli trochę zabawy.

Następnego dnia ksiądz z organistą zasiedli za balustradą przy ołtarzu. Ksiądz po jednej stronie ołtarza, a organista po drugiej. Rozpoczęli głośną modlitwę, która wyglądała tak, jakby się kłócili. Trwała ona około 40 minut, po czym organista poszedł na chór, a ksiądz ubrał się do odprawiania mszy. Msza odprawiana była po łacinie. Ksiądz zwrócony był twarzą do ołtarza. Po mszy ksiądz pokropił, okadził trumnę i rozpoczęła się droga na cmentarz. Tak jak dnia poprzedniego, mężczyźni nieśli krzyż, chorągwie i trumnę. W drodze na cmentarz modlitwy i śpiewy wiernych. Na cmentarzu ostatnie modlitwy księdza i śpiewy organisty. Trumnę wpuszczono do grobu ziemnego. Groby murowane powstały daleko później. Księdza, organistę, krzyż, chorągwie odwieziono furmanką konną.

Po pogrzebie zwykle rodzina zapraszała uczestniczących w uroczystości do domu zmarłego na poczęstunek. Do stołów zasiadało około 50 osób. Pierwszym daniem był rosół. Makaron do rosolu był gnieciony w domu, bo w sklepach makaronów jeszcze nie było. Wędliny swojego wyrobu. Gęsto postawione butelki z alkoholem, również swojego wyrobu. Uczta trwała kilka godzin. Zwykle tak bywało, że pod koniec śpiewano pieśń pogrzebową, której fragment pamiętam:

„O niepojęty Sędzio Boże
dusze czyścowe
niech Twa łaska wspomóż
za naszymi prośbami
wybaw Panie z mąk czyścowych,
daj mu pokój wieczny,

niech mu świeci światłość wiekuista
po dzień ostateczny,
tak daj mu Boże, daj.”

Mężczyźni, uraczeni dobrym poczęstunkiem, wdzięczni rodzinie zmarłego, w podziękowaniu śpiewali „100 lat”. Wyglądało to tak, jakby 100 lat życia życzyli zmarłemu.

Po latach nastąpiły ogromne zmiany w pogrzebach. Margines urzędowski spowodował, że ksiądz Jan Łazicki musiał w 1958 r. zmienić parafię. Został przeniesiony przez władze kurialne do Dysa, a z Dysa przyszedł do Urzędowa ksiądz Józef Baranowski. Ks. Baranowski był księdzem chłopskim. Lubił gospodarstwo rolne, konie, bryczkę, oborę, stodołę pełną snopów zboża. Lubił mieć w rękę bat. Podczas odpustu w Urzędowie, kiedy ludzie płątali się wokół kramarzy ksiądz proboszcz wziął bat i popędzał ludzi do kościoła.

Ksiądz Baranowski był już w starszym wieku, więc nie mógł prowadzić pogrzebu z Bęczyna. Zarządził nową metodę. O umówionej godzinie wynoszono zmarłego z domu i niesiono do najbliższego krzyża czy kapliczki. Stawiano trumnę, a do tego miejsca przywożono furmanką księdza. Ksiądz odmówił modlitwy, wsiadł na furmankę i pojechał do kościoła. Wierni z krzyżem i chorągwiami prowadzili kondukt pogrzebowy. Umówiona osoba spośród uczestników pogrzebu zastępowała organistę, podając modlitwy czy śpiew. Po przyniesieniu trumny do kościoła odprawiało się tak, jak za poprzedniego księdza. Ksiądz Baranowski był proboszczem w Urzędowie przez 14 lat, zmarł w 1972 roku. Pochowany jest na cmentarzu w Urzędowie.

Ksiądz Łazicki był proboszczem urzędowskim przez 25 lat. Tak się zadomowił w Urzędowie i poznał parafian, że jak sam mówił, mógłby każdego parafianina rozgrzeszyć bez spowiedzi. Zmiana parafii bardzo ujemnie wpłynęła na jego psychikę. Po niedługim czasie przyszła do Urzędowa wiadomość, że ksiądz Łazicki zmarł i pogrzeb odbędzie się w Dysie. Nasza rodzina miała bardzo dobre zdanie o ks. Łazickim, postanowiliśmy z żoną uczestniczyć w pogrzebie. Namówiliśmy Stefana Gajewskiego z Gór, który miał samochód marki „Trabant”, żeby nas zawiózł na pogrzeb. Pojechaliśmy my obydwój i Stefan ze swoją żoną.

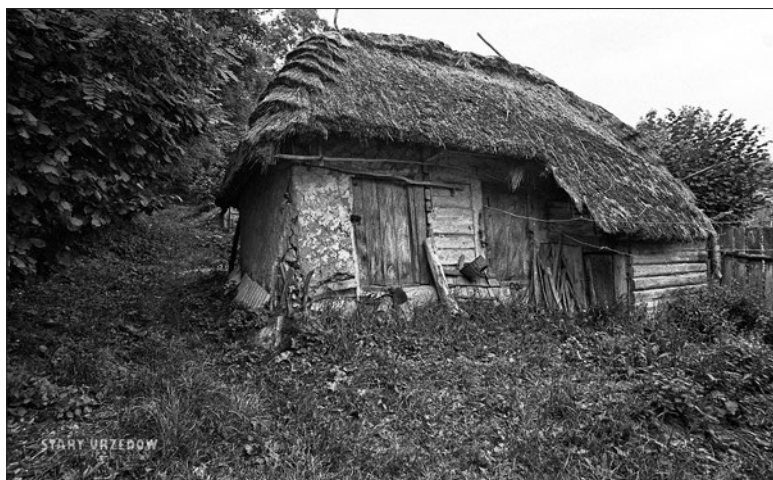
Pogrzeb był bardzo uroczysty. W kościele było kilkudziesięciu księży, wiele sztandarów kościelnych i straży pożarnych. Przemowy nie tylko księży. Po skończonej mszy, kiedy wyprowadzano trumnę na cmentarz, który znajdował się blisko kościoła, z daleka słychać było grzmoty. Kiedy wpuszczono trumnę do murowanego grobu, zerwał się huragan, łamały się gałęzie z drzew, zaczęła się niesamowita ulewa. Grób zapełnił się wodą tak, że nie było widać trumny. Ludzie uciekali do kościoła. Woda płynęła jak rzeka. Po ulewie wszędzie było błoto. Stefanowi udało się wyjechać i szczęśliwie wróciliśmy do domu.

Stanisław Gajewski

Domy na Bęczynie, jakie pamiętam z młodości

Urodziłem się w Urzędowie, na Bęczynie w roku 1930. Nie wiem, czy temat, który opisuję, zainteresuje czytelnika. Piszę o starych chałupach, wybudowanych przed moim urodzeniem, których już nie ma, a które zachowane są tylko w mojej pamięci. Znałem też ludzi w nich mieszkających.

Chałupy, o których piszę, budowane były z bali sosnowych grubości 5 cali (około 12 cm). Bale zbijano kółkami zwanymi tyblami. Wiercono otwór w balu, wbijano w niego tybel i naprzeciwko niego wiercono otwór w kolejnym balu. Tyble łączyły bale w ścianę. Na rogach bale były łączone węglem. Aby docisnąć bale, używano drewnianego młota, tak zwanego śloga. Szpary między balami w ścianie uszczelniano szmatami, pakułami,



a nawet mchem. Chałupa od frontu budowana była na dwóch przyciesiach. Druga przycieś tworzyła przedsienie. Przyciesia były dębowe. Na przedsienu zwykle była ława, na której chętnie odpoczywano. Dachy były kryte strzechą, wysokie, żeby woda nie wsiąkała w słomę, tylko szybko ściekała. Jedynie najbogatsi gospodarze, jak Józef Surdacki „Wuj”, Józef Drzymała, Władysław Chęciński, Zygmunt Chęciński mieli domy kryte blachą. Większość domów miała cztery pomieszczenia: sieni, w niej była drabina na strych, dużą izbę z murami kuchennymi, piecem chlebowym i dużym zapiecem, na którym spalały dzieci, alkierz i małą izbę zwaną izdebką. Niektóre domy były mniejsze i składały się tylko z sieni, dużej izby i izdebki. Zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz domy bielono wapnem.

Przywołuję je po kolei, od początku Bęczyna, najpierw od strony południowej. Pierwszy był dom Waclawa Kamyka, potem Wójcika, którego następcą był Paweł Witek. Domy te nie istnieją. Dalej nie ma starego domu Mazura, za nim był dom Budy, po którym nie ma śladu. Tu Niemcy zabili dwie młode, urodzive Żydówki. Szedłem z kolegami ze szkoły i widziałem. Dalej mieszkał Żyszkiewicz,

którego następcą obecnie jest Karol Gajewski, dom średnio stary istnieje, ale jest niezamieszkały. Następny dom to był stojący do dnia dzisiejszego dom Józefa Kowalewskiego, także niezamieszkały. Potem był średnio stary dom Franciszka Oblewskiego i bardzo stary dom po Gajewskich, należący do Józefa Puacza. Za nim był dom Apoloniusza Gajewskiego, którego też już nie ma. Kolejny dom, też już nieistniejący, to bardzo stary i duży dom Piotra Pomykalskiego. Po nim był bardzo stary dom Antoniego i Salomei Kaliszów, a za nim dom Karola Gołdasia. Dom ten jest odnowiony i zamieszkały. Dalej był średnio stary dom Pawłowski, później Skury, obecnie mieszka w nim Marian Wójtowicz. Następny był stary dom Franciszka Kalisza, którego już nie ma. Kolejny dom średnio stary należący do Andrzeja Wośko istnieje i jest zamieszkały. Dalej mieszkali Józef Zawadzki i Stanisław Surdacki. Domy ich stoją niezamieszkałe do chwili obecnej. Za nimi był bardzo stary dom Agaty Kaniowskiej, też już go nie ma. Kolejny dom należał do Ignacego Rolli, potem do syna Antoniego. Był on średnio stary, ale też już go nie ma. Stoi za to niezamieszkały dom Henryka Cieślackiego. Za uliczką były stare zabudowania gospodarcze Stefana Surdackiego, którego zięciem był Welna. Też już są zlikwidowane. Następny był stary dom Kornela Chruściela oraz średnio stary dom Jerzego Witka, który wyremontowany służy następcom do chwili obecnej. Po Gajewskich mieszkała Gołębina, pusty dom stoi do dnia dzisiejszego. Dalej był stary mały domek Stefana Surdackiego, mieszka w nim syn malarza Czesław. Dalej stoi odnowiony dom Ignacego Gajewskiego „Spółka”. Kolejno były nieistniejące już domy Wincentego Nowaczyńskiego (zięć Wiesław Mazurek) i Surdackiego (zięć Kazimierz Skura) oraz Gozdalskiego (zięć Kaniewski). Dalej stał dom murowany Czesława Gajewskiego, istnieje do dzisiaj. Za Gajewskimi był bardzo stary dom Saklaków, kaszarnia i dom Wojcieszkiwicz, w tyle kaszarni bardzo stary dom Mazgajów i Lucjana Mareckiego. Nie ma żadnego z nich. Dalej był średnio stary dom Franciszka Gajewskiego, odnowiony, jest zamieszkały. Za nim były nieistniejące już domy Jana Dryły, Konstantego Grzebuły i Stanisława Sadowskiego, stelmacha. Kolejny stary dom należący do Stanisława Grzebuły, którego zięciem był Aleksander Rachoń, niezamieszkały stoi do dziś. Następny dom, należący do Antoniego Mazika, został sprzedany i po remoncie jest zamieszkały przez nowych właścicieli. Za nim jest niezamieszkały, bardzo stary dom Józefa Surdackiego. Dalej był dom Piotra Surdackiego „Pietrasia”. Następnym domem, do dziś zamieszkanym, był dom kowala Jana Wyróstka. Tak samo zamieszkałe są domy Józefa Drzymały, Zygmunta Chęcińskiego,

Floriana Oblewskiego, Antoniego Witka i Stanisława Gozdalskiego. W domu Chęcińskiego mieszka jego córka Jadwiga Surdacka, w domu Witka Kazimierz Gramek, a stary dom Gozdalskiego został odnowiony przez Jerzego Surdackiego. Następnym bardzo starym dziś domem nieużywanym jest dom należący kiedyś do Walentego Brożka. Za nim był dom Karola Witka, którego już nie ma. Stoi za to następny, opuszczony dom Marcina Ambrożkiewicza. Podobnie dom Stefana Rachonia (córka Maria Majdańska). Dalej jest stary odnowiony dom Mikołaja Drzymale wyremontowany przez Jadwigę i Sylwestra Chmielów. Za tym domem kończył się Bęczyn od strony południowej lasem państwowym Wolski Bór, na skraju



dom to średnio stary dom Józefa Gajewskiego „Szczura”, jest on zamieszkały. Obok nie ma już domu Wojciecha Rozmusa, stoi zaś następny, chociaż pusty, dom Elżbiety Jacniak (syn Teofil). Tak samo pusty jest następny dom Aleksandra Rachonia. Za nim był nieistniejący dom Bronisława Karasia, a dalej dom Jana Skowrona i Mischczyków, który jest obecnie zamieszkały. Obok znajduje się mały, stary, pusty dom Władysława Surdackiego. W lesie stoi dom Feliksa Surdackiego, odnowiony jako zabytek, także jest niezamieszkały. Nie ma już domów Ignacego Surdackiego i Antoniego Wośko, które były bardzo stare. Niezamieszkały jest dom Władysława Gajewskiego „Machory” (syn Waclaw). W następnym mieszkał Czesław Gajewski, dzisiaj w jego domu mieszka wnuczek. Podobnie w odnowionym domu Antoniego Gozdalskiego. Następnego domu Łukasza Gajewskiego (syn Władysław) już nie ma. Są za to kolejne – Antoniego Mareckiego i tkacza Karola Niecia, oba niezamieszkałe. Idąc dalej w kierunku wschodnim, mieszkała w ziemiance-lepiance Julia Bystrzyńska ze Smętków. W starym domu Jana Smętka mieszka Mareczek Popłoński. Kolejne domy, których już nie ma, należały do Jana Gajewskiego „Supy” i jego ojca Franciszka. Kolejne stoją, ale są niezamieszkałe. Są to domy, w których mieszkali Antoni Drzymala (zięć Jan Rozmus), Kazimierz Niewczas i Antoni Ciempiel z rodziną, Wojciech Madej (syn Antoni). Kuźni Jana Wyrostka nie ma, przeniesiona została do lubelskiego skansenu. Dalej jest stary dom Sylwestra Gołdasia, niezamieszkały. Nie ma bardzo starego domu



którego był grób żołnierzy austriackich z pierwszej wojny światowej. Po południowej stronie drogi Bęczyn nie był gęsto zabudowany, nie było tu wielu gospodarstw.

Po drugiej stronie drogi biegnącej do Chruślanek przy lesie stała bardzo stara gajówka Stanisława Gazarkiewicza, dziś w tym miejscu jest piękna leśniczówka. Gajówka nakryta była gontem z osikowego drewna. Obok leśniczówki jest dom Władysława Gajewskiego, w nim wnuk Zygfryd i prawnuk Cezary urządzili warsztat garncarski. Po sąsiedzku jest zamieszkały stary dom Grzegorza Czarnoty, dalej na północ dom Pawła Komazki zamieszkały przez wnuków. Następny jest dom Bronisława Staroka zamieszkały przez Kaliszów. Za nim był nieistniejący dom Jana Wójtowicza. Kolejny



Antoniego Wośko, jest za to następny dom Franciszka Sadowskiego, który został sprzedany, odnowiony i mieszka w nim Jan Rozmus. Władysław Chęciński, Sylwester Wyrostek – domy nie istnieją. Ignacy Banaszek – stary dom odnowiony i zamieszany przez Bronisława Gajewskiego też nie istnieje. Dalej mieszkał Stanisław Surdacki (syn Kazimierz), dom stoi pusty. Józef Surdacki mieszkał z rodziną w starej oborze, której już nie ma. Dom Fran-



ciszka Surdackiego „Szatanka” odnowiony został przez córkę Genowefę, która w nim mieszka. Dalej na wschód stoi niezamieszany dom Jana Grzebuły (zięć Julian Kruk). Nie istnieją kolejne zabudowania, które należały do Andrzeja Gajewskiego. Jest za to mały, stary dom Czesława Paszkowskiego zamieszany przez wnuczkę. Nie ma domu Jana Sadowskiego (córka Lucyna, zięć Stefan Tracz). Stary dom Nicefora Sadowskiego spalił się w wyniku pożaru. Nie ma też kolejnych domów: Józefa Sadowskiego, Bolesława Brożka i Stefana Wyrostka. Pusty stoi dom Władysława Grzebuły. Cztery następne stare domy należące kiedyś do Władysława Wiacka, Stanisława Grzebuły, Leona Grzebuły i Jana Wnuka zostały rozebrane. Zamieszany przez Stanisława Saklaka jest następny dom, należał przed laty do jego dziadka Jana Nowaczyńskiego. W kolejnym bardzo starym domu mieszkał Jan Gajewski „Amerykan”. Dom został sprzedany i jest zamieszany przez Grzebułę „Kasperka”. Kolejny stary, dzisiaj niezamieszany, dom należał do Mikołaja Jagiełło (synowie Zygmunt i Rysiek). Dwa następne domy, Mietka Wośko i Bogusławskiego, którego córka Helena była nauczycielką, nie istnieją. Idąc dalej, jest dom Aleksandra Gajewskiego „Kapucyna”, mieszka w nim obecnie Leontyna Grzebułska. Pusty jest następny dom Andrzeja Rolli. Przed nim, na wschód, był nieistniejący dom Rogozów, gdzie mieszkała Celina Bystrzyńska. Następny jest stary dom Tomasza Grzebuły, niezamieszany. Dalej nie ma czterech starych domów: Mieczysława Gozdalskiego, Tadeusza Jagiełło (córka Marynia), Jana Turkowskiego (zięć Antoni Mikołajewicz), Lizinkiewicza (wnuk Antoni Turkowski). Stoi dom Jana Gajewskiego „Bubesa” ale jest niezamieszany. Nie ma starych domów Andrzeja Niewczasa (wnuk Andrzej Wyrostek) i Józefa Żyszkiwi-

cza (syn Ignacy). Kolejny dom Władysława Surdackiego „Strażaka” i Juliana Mareckiego jest użytkowany. Nie jest użytkowany stary dom po Surdackich, w którym mieszkał Wełna, a później Bury. Nie ma kolejnych domów: Józefa Cieślickiego (wnuk Henryk Chruścielewski), domu po Skurach, gdzie mieszkały 3 córki, dwie były krawcowymi, jedna zamężna za Marcinem Morycem, oraz domu Karola Żyszkiwicza. Nie istnieje wspólny dom Stanisława Paszkowskiego i Stanisława Mazika. Średnio stary dom Józefa Brożka jest zamieszany przez syna Michała. Bardzo stary dom Ignacego Surdackiego (córka Aleksandra, zięć Eugeniusz Kuśmiderski) spalił się w pożarze. W średnio starym domu Stanisława Szocińskiego mieszka jego córka. Dom Feliksa Ambrożkiewicza (syn Wojciech) jest niezamieszany. Stare budynki gospodarcze Andrzeja Wośki stoją, ale bez zwierzyny. Nie istnieje dom Piotra Gozdalskiego, tak samo Stefana Wośko. W starym domu Kwiryna Surdackiego mieszka jego córka. Nie ma starego domu Jakuba Kamyka (syn Marek) i domu Jana Wójcika (wnuczka Maria Kasperska). Nie ma starego domu Mieczysława Drzymały (córka Kazimiera Trancygier). Waclaw Grzebuła mieszkał w starym domu po Brożkach, stary dom zlikwidowany przez córkę

Halinę. Nie ma małego domku szewca Bogusławskiego ani domu Stanisława Żyszkiwicza (syn Władysław). Nieczynna jest też stara szkoła podstawowa wybudowana na początku XX wieku. Za szkołą stoją średnio stare zabudowania Melchiora Wośko, wszystko nieczynne. Dom Józefa Gładkowskiego rozebrany przez Ludwika Karbowiaka, który kupił placówkę wraz z budynkami. Nie ma bardzo starego domu Marcelego Kałużyńskiego, Piotra Surdackiego, Antoniego Krasieńskiego i Pawła Gawdzika oraz domu Anastazji i Franciszka Żyszkiwiczów. Nie ma



zabudowań Waclawa Nowaczyńskiego. Obok był mały stary domek Aleksandra Piotrowskiego, teścia Waclawa Nowaczyńskiego. Jest zamieszany przez syna Waclawa, Adama. Nie istnieją budynki Franciszka Jagiełło, gdzie mieszkali jego syn Władysław, wnuk Antoni, a obecnie prawnuk Zdzisław. Nie ma domu Mateusza Mazurka.

Dom Bolesława Gozdalskiego (syn Stanisław) jest zamieszany. Nie istnieją budynki Aleksandra Kamyka

„Orecha”, którego żonę zabił piorun. Nie ma też starych domów Franciszka Drzymały (syn Mundek), Kamila Skurskiego (syn Antoni) i Stefana Gajewskiego (syn Tadeusz). Stoi stary dom Macieja Gozdalskiego, nie jest jednak zamieszkały. Rozebrane zostały domy Pawła Surdackiego (syn Czesław), Stanisława Smolińskiego (syn Zygmunt, wnuk Kazimierz). Zlikwidowane są budynki Mikołaja Kamyka, a placówka sprzedana. Domy Stanisława Grabowskiego (zięć Zygmunt Jagiello), Józefa Paszkowskiego, Michała Żyszkiewicza (zięć Alfons Maruszewski) spłonęły w 1947 roku. Następny dom, Jana Rolli (zięć Waław Gajewski, wnuk Marian), jeszcze stoi, ale nie jest użytkowany. Zamieszkały jest za to następny dom Franciszka Surdackiego (syn Jan). Nie ma starego domu Jana Cieślickiego ani następnego, w którym mieszkały siostry Regina i Anastazja Szocianki. Anastazja zamężna była za Oską UB-owcem. Rozebrano też kolejne domy: Bronisława Grzebulskiego i Ignacego Nowaczyńskiego (syn Józef Kazimierz, wnuczka Teresa Krawczyk). Nikt też już nie mieszka w małym murowanym domu Rudzińskiego. Nie ma też śladu po domu Celiny Wośko. Stary dom Jana Gozdalskiego (zięć Aleksander Pomorski) został rozebrany, wybudowany nowy. Stanisław Mazik – dom nie istnieje. Na placówce stoi altanka córki, Krysi Winiarskiej. Nie ma też następnych starych domów Zygmunta Gozdalskiego (syna Piotra), Marzyckiego i Stefana Surdackiego, którego zięciem był Ludziak. Dom Surdackiego był pierwszym domem na Bęczynie.

Przechodząca przez Bęczyn droga była nieutwardzona, często błotnista. Piesi chodzili ścieżką biegnącą po stronie północnej, obok ogródków z płotami z chrustu. Druga ścieżka biegła za stodołami, za którymi gdzieś były sady. Ścieżką po zastodolu można było przejść cały Bęczyn, unikając kurzu na drodze zwanej gościńcem,



bądź ciekawskich spojrzeń kobiet, które często siedziały na ławkach wzdłuż drogi. Przy drodze, co kilkadziesiąt metrów, znajdowały się studnie z żurawiami, obudowane smolnym drewnem. Przy chałupach zwykle były chlewiki dla drobiu i świń, na podwórku studnie, dalej obory dla bydła i koni. Wszystkie budynki z bali, kryte słomą.

Fotografie: www.facebook.com/staryurzedow

Stanisław Gajewski

Procesja podczas Świąt Wielkanocnych

Jak sięgam pamięcią do lat dziecięcych i późniejszych, procesje wielkanocne były trochę inne niż obecnie. Młodzi, silni mężczyźni nieśli wielkie chorągwie, a obok nich po dwie młode panienki, ubrane w białe bluzeczki i czarne spódnice, trzymały szarfy zwisające z jednej i drugiej strony chorągwi. Za chorągwiami szło czterech równych wzrostem mężczyzn, w białych komżach, przepasanych przez prawe ramię szarfą biało-czerwoną, w białych rękawicach, a w rękę każdy niósł dużą świecę. Za mężczyznami szli ministranci z dzwonekami, księża i pod baldachimem ksiądz z hostią. Księdza niosącego hostię prowadzili dwaj zaci panowie: doktor medycyny Alojzy Hevelke i młynarz Adolf Pomykański.

Okupacja niemiecka i druga okupacja PZPR nie lubiły Boga, księży i procesji. Ja w tym czasie, od lat pięćdziesiątych należałem do Ochotniczej Straży Pożarnej. Na zebraniach strażackich dowiedzieliśmy się, kto rozbił pomnik Orłąt Lwowskich na wałach. Przyznał się do tego druh naszej straży, mówiąc: „Dali wódki, pieniędzy i rozwalilem”. Z kolegami strażakami wyciągnęliśmy

za pomocą traktora i liny części pomnika, które były zrzucone z wału na dół. Złożyliśmy pomnik z powrotem. Podszedł do nas jeden z członków PZPR, mówiąc: „Za ten czyn chyba wrócisz do więzienia”. Nie wróciłem, bo przyszła w latach osiemdziesiątych odwilż polityczna. Wróciliśmy też do uroczystych procesji. Przed świętami Zmartwychwstania Pana mieliśmy zebranie strażackie. Uchwaliliśmy za zgodą księdza proboszcza, że podczas mszy św. w Wielką Niedzielę zrobimy strażacką procesję. Ustaliliśmy wszystko, kto będzie niósł krzyż, kto chorągwie, kto baldachim, kto podtrzymywał ręce kapłana.

W Wielki Piątek i Sobotę druhowie trzymali wartę przy grobie Chrystusa. W Wielką Niedzielę całość procesji obsługiwali druhowie OSP Urzędów. Po dwóch, w hełmach na głowie, z toporkiem na ramieniu, jako warta po jednej i po drugiej stronie baldachimu. Pozostali druhowie, jako warta ogólna w czapkach na głowach otaczają całą procesję. Łzy wzruszenia pojawiały się u uczestników procesji. Od tej pory wszystkie procesje wielkanocne wyglądają w podobny sposób.

Stanisław Gajewski

Kasza matka nasza. Jak ważne były gryka i proso dla ludzi w dawnych latach

Kasza gryczana i jaglana z prosa są podstawową potrawą w polskiej kuchni od niepamiętnych lat. Chcę przypomnieć, jak kiedyś uprawiano grykę i proso oraz robiono z ziaren tych zbóż kasze.

Rolnicy wiosną sieją zboża jare, jesienią ozime. Grykę, nazywaną u nas tatarką, czasem hreczką lub reczką, rolnicy sieją przed 25 maja. Rola pod zasiew mogła nie być wynawożona, nawet zachwaszczona. Gdy pole było już przygotowane do zasiewu, rolnik brał ziarno, jechał w pole i patrzył w górę, jakie są chmury. Jeżeli rolnikowi chmury się nie spodobały, ziarna nie siał i wracał do domu. Na drugi dzień chmury nie takie – czekał dalej. I tak mogło zejść kilka dni. Jeżeli w tym czasie wypadł ciągle deszcz i padał kilka dni, zabobonny chłopina gryki nie zasiał, a pole zarósł natrętny perz, taki, że trudno było je zaorać.

Pole, na którym siano reczkę, musiało być zaorane, skiby zszyte korzeniami perzu porozrywane sprężynówką, dobrze zabronowane. Wtedy siano grykę i bronując mieszano ziarno z ziemią. Zasianej reczki nie zasilano nawozami. Ta roślina ma wysoką słomę i łatwo wylega, a wyległa słoma nie da ziarna. Gryka karmiona była przez gnijące korzenie perzu, których zabójcą jest korzeń tataraki. Kiedy reczka dojrzała, kosiło się ją, kiedyś sierpem, potem kosą, wczesnym rankiem lub wieczorem z rosą, żeby ziarna nie wysypywały się z grona.

Wymłócona tataraka jest wilgotna, nawet mokra, więc nie wolno jej trzymać w kopie, bo zaparuje, zapleśnieje i nie będzie nadawać się ani na kaszę, ani na nasienie. Wilgotne ziarno trzeba było rozsypać cienką warstwą i przesypywać szuflą, susząc je. Po małym przesuszeniu brano ziarno na wialnię i małym wiatrem oddzielano plewy od ziarna. Po kilku dniach ponownie na wialnię celem suszenia ziarna. Żeby zrobić kaszę, moja mama po upieczeniu chleba sypała do gorącego pieca koło 50 kg hreczki. Ziarno suszyło się około tygodnia. Już dobrze suchą hreczkę trzeba było z pieca wydostać. Najpierw szufelką, a potem resztę, która została na tak zwanym trzonie w piecu, ja wymiotłem gęsim skrzydłem. W tym celu wszedłem do pieca rozebrawszy się do naga, a miałem zaledwie 12–15 lat.

Worek z suchutką gryką włożyliśmy z mamą na dwukółkowy wózek i zawieźliśmy do kaszarni, do Paulci Sakłakówny. Kaszarnia znajdowała się na Bęczynie, od strony drogi, w drewnianych zabudowaniach, które składały się z chałupy, obórki i kaszarni. Był to rodzinny dom ojca Kajetana Ambrożkiewicza. Paulcia, panna lat około 50, bardzo chętnie otworzyła wielkie drzwi kaszarni i wysypała ziarno z naszego worka do kosza kaszarni. My z mamą kręcimy, to znaczy uruchamiamy maszynę. Uruchomienie kaszarni nie było lekkie. Jednej osobie było za ciężko kręcić. Ja, młody chłopak, szybko się męczyłem, pani Paulcia dawała mi odpocząć i kręciła z mamą, ale niedługo, bo jej zadanie było inne. Ziarna tataraki z kosza małym otworem sypały się do zakrytych kamieni, które obdzierały ziarno z łuskwiny. Ziarno razem z łuskwiną



Kaszarnia na Bęczynie, rodzinny dom o. Kajetana Ambrożkiewicza

wysypywało się do innego pojemnika, gdzie był tak zwany przetak, który odsiewał łuskwinę od ziarna. Łuskwinę nazywano łuszczakami, dodawano je potem do paszy dla świń. Kiedy łuszczaki zostały całkiem odjęte od ziarna, pani Paulcia zapytała moją mamę: „Janowa, na ile kasz robimy? Na dwie czy na trzy?”. Obydwie uzgodniły, że na trzy. Każda z tych kasz miała swoją nazwę, ale ja już dzisiaj nie pamiętam tych nazw, wiem, że jedna nazywała się krupczatka. Przywieźliśmy kasze do domu. Mama mówi: „Teraz ugotuję kaszę na mleku”. Mleko od naszej krowy prawie pół na pół ze śmietaną, kasza smaczna, jeszcze dziś czuję jej smak. Jak na kaszy zrobił się kożuch, to każde z dzieci uwijało się, żeby go zjeść, bo był naprawdę

smaczny. Nie wiem, z której kaszy – z drugiej czy trzeciej, była kasza na mleku. Mama mówiła, że pierwsza kasza nadaje się na kaszankę po zabiciu świni. Przygotowany farsz na kaszankę nakładany był w jelita grube świńskie, między innymi w tzw. kiszkę oddupnią. Kiszka ta była lekko obrośnięta tłuszczem. Po upieczeniu była lekko krucha i była najlepsza.

Jeszcze więcej gryki niż w Urzędowie siali mieszkańcy Dzierzkowic. Z tego tytułu nazywano ich tatarczuchami. Dużo gryki siano też w okolicy Janowa Lubelskiego. Mieli kaszarnie, robili i robią kasze do dnia dzisiejszego. Kasze odstawiają do sklepów w różnych miejscowościach i miastach. Kupowali też grykę w innych okolicach. Któregoś roku miałem do sprzedania około 300 kilogramów tatarski. Kupcy z Janowa kilka razy przyjeżdżali, ale chodziło o cenę. Wreszcie dali za grykę tyle, ile chciałem. Innym razem miałem ponad 200 kg gryki. Przyjechał kupiec, kupił bez targu. Wartość jednego kilograma gryki odpowiadała wartości dobrej pszenicy.

Kaszę jaglaną otrzymywano z prosa. Proso było siane w polu, ale też i w lesie, na tzw. porębach po wyciętym 300-letnim lesie. Na takich porębach w lesie Wolski Bór za Bęczynem oraz w leśnictwie Zwierzyniec pod Dzierzkowicami ludzie karczowali pniaki po ściętych grubych drzewach, składali w stosy i wykupywali tzw. karpinę w Nadleśnictwie. Czyste połacie lasu chętni ludzie dzielili na małe działki i robili tak zwaną kopaninę, celem zasiania na nich prosa. Co to jest kopanina? Ludzie dużymi stalowymi graczami leciutko przewracali poszycie leśne, żeby wydostać niedużą warstwę ziemi. W ziemi tej siali proso i leciutko grabkami mieszało ziarno z ziemią. W leśnej, mocno wynawożonej wieloletnim runem leśnym ziemi proso bardzo dobrze rosło. Słoma była gruba, ledwo unosiła wielkie kiście z ziarnami. Żniwa odbywały się przeważnie sierpami, słomę zżynano nisko, przy ziemi. Proso zbierano i wiązano w snopy. Po zebraniu proso, na oczyszczonej połaci lasu, w próśniku, siano żyto. Kiedy żyto urosło na wysokość ok. 10 cm od ziemi, sadziło się w nim sadzonki sosny, dębu, buka. Kiedy żyto wyrosło,

odbywały się żniwa, za pomocą sierpa lub kosy, ale ostrożnie i wysoko, żeby nie uszkodzić sadzonki. Te części lasu nazwano „Kulturą”. Były one mocno strzeżone przez służbę leśną i nie wolno tu było paść bydła.

Uprawy prosa nie były zbyt wielkie, siano zwykle kilka lub kilkanaście arów, zależnie od potrzeb rodziny.

Zebrane proso młócono cepami. Słoma po omlóceniu prosa świetnie nadawała się na pędzle do bielienia wapnem budynków mieszkalnych, obór i innych rzeczy. Ziarna prosa, odsiane od plew, dostatecznie wysuszone przeznaczano na kaszę. Jak pamiętam z dzieciństwa, tłuczono proso w stępie, zamieniając na kaszę. Używano też nazwy stępka. Co to jest stępa? Świętej pamięci Stanisław Gozdał-Gozdałski wziął kawał lipowego klocka, grubości większej miski, wysokości ok. 150 cm. Z wierzchu wydłubał dziurę, pozostawiając ścianki po około 5 cm dookoła. Dziura głęboka była na około 50 cm. Spód dziury dobrze wygładził. W otwór ten sypało się proso i tłukiem do tego przystosowanym tłukło się ziarna. Co kilkanaście minut odsiewało się łuskwinię od ziarna. Żeby uzyskać kaszę, trzeba było tłukiem mocno stuknąć ponad 500 razy. Czoło dobrze się spociło. Uzyskano kaszę jaglaną. Kasza jaglana ugotowana na mleku miała tę właściwość, że szybko nie stygła, utrzymywała ciepło przez parę godzin. Rolnicy podczas żniw czy wykopków przywozili furmanką konną obiad w dalekie pole. Pożywienie okrywano dobrze sianem i było ono jeszcze ciepłe. Gorąca kasza, kapusta z grochem czy inne potrawy nie mogły być wiezione prędko, bo by się wychlapały.

Dzisiaj nie tłucze się proso w stępie, żeby uzyskać kaszę, nie ma już kaszarni na Bęczynie, nie ma kopanin w lesie, nie wozi się furmanką obiadów w pole. Zboża wykosi kombajn, wykopki również zrobi kombajn. Kasze z prosa i gryki, zrobione przez specjalne maszyny, kupuje się w sklepie i to najczęściej w małych woreczkach, żeby było wygodniej gotować. Daleko im jednak do smaku takiego jak ten, który pamiętam z młodości.

Urzędów, maj 2021.

W październiku 2021 r. nakładem Towarzystwa Ziemi Urzędowskiej ukaże się książka

Wspomnienia Dominika Wośki nauczyciela rodem z Urzędowa

której fragmenty publikujemy w kolejnych numerach „Głosu” od roku 2010. Natomiast w „Głosie” 2009 (s. 62–66) przedstawiona była postać Dominika Wośki pióra jego syna Zdzisława.

Zdzisław Górski

Wspomnienia z zapisanej historii, usłyszaney z opowiadań i własne. Kozarów w powiązaniu z Urzędowem

Kozarów położony jest na Wyżynie Urzędowskiej, oddalony od Urzędowa o 10 kilometrów. Nazwa wsi występuje w aktach metrykalnych już w drugiej połowie XVII wieku i pochodzi od nazwiska Kozarzewskich, którzy byli w XVI wieku właścicielami dóbr bobowskich. Obecna nazwa wsi Kozarów weszła na stałe do użycia dopiero w 1864 r. wraz z uwłaszczeniem wsi. W tym okresie liczyła 13 gospodarstw, które posiadały łącznie 87 mórg, 102 przęty obszaru ogólnego, tj. 48,9 hektara. Następnie w wyniku parcelacji folwarku dworskiego powstała kolonia Kozarówek. Obszar tej kolonii wynosił 95 mórg, 235 przętów.

Stan gospodarstw wsi Kozarów i kolonii Kozarówek w 1906 r. przedstawiał się następująco:

Lp.	Nazwisko i imię gospodarza	Liczba osób w rodzinie	Powierzchnia gospodarstwa w morgach
1	Kowalski Józef	7	7
2	Szumny Franciszek	6	13
3	Rogoza Franciszek	5	15
4	Chołody Jan	7	14
5	Goliński Tomasz (dwa gospodarstwa)	7	36
6	Winkler Antoni	8	35
7	Kubiś Wojciech	8	21
8	Wojtuszkiewicz Stanisław	8	13
9	Wojtuszkiewicz Jakub	8	15
10	Brożek Ignacy	3	10
11	Grudziński Franciszek	5	25
12	Brożek Konstanty	6	26
13	Głogaczewski Władysław	7	60
	Razem	89	289

Razem rodzina Brożków posiadała 36 mórg – przed podziałem Ignacy Brożek wywianował syna Konstantego w 26 mórg, a sobie pozostawił 10 mórg. Antoni Winkler oraz Jakub Wojtuszkiewicz posiadali dodatkowo po jednej morgie lasu.

Z akt metrykalnych parafii urzędowskiej wynika, że Brożkowie przybyli do Urzędowa pod koniec pierwszej połowy XVIII wieku. Po przybyciu do Urzędowa wchodzili w związki małżeńskie z przedstawicielami drobnej szlachty i mieszczan. Od Ignacego Brożka, syna Marianny z Kułaczkowskich i Mateusza, zaczyna się ród Brożków zamieszkałych w Kozarowie. Mój pradziadek Ignacy Brożek (1843–1917) zawarł małżeństwo z Bro-

niślawą Ewą z Nurowskich w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Mikołaja w Urzędowie i w roku 1879 przeprowadzili się z Urzędowa do Kozarowa w parafii Boby, gdzie nabyli ziemię z folwarku w Kozarowie i założyli gospodarstwo rolne. Z tego małżeństwa mieli siedmioro dzieci: córkę Katarzynę (1867–1942) urodzoną w Urzędowie, która w 1889 r. wyszła w Bobach za mąż za Walentego Komzę, syna Konstantego (1870–1931) urodzonego w Urzędowie, który poślubił Feliksę Magdalenę z Więckowskich pochodzącą z Urzędowa, syna Nikodema Teodora urodzonego w 1872 r. w Urzędowie, córkę Apolonię urodzoną w Urzędowie w 1873 r., która w roku 1893 wyszła za mąż za Jana Chołody z Kozarowa, córki Juliannę (1877–1881) i Sewerynę (1879–1881) – obie zmarły w tym samym miesiącu i roku w przeciągu dwóch dni, córkę Helenę urodzoną w 1884 r. w Kozarowie, która wyszła za mąż za Leona Majewskiego w 1904 r., biorąc ślub w kościele parafialnym w Bobach. Pierwszych czworo dzieci urodziło się w Urzędowie, pozostała trójka w Kozarowie. Żona Ignacego Brożka, Bronisława, matka wymienionych dzieci, zmarła 26 września 1885 r. i pochowana została na cmentarzu parafialnym w Bobach. Drugą żoną Ignacego Brożka była Marianna z Gorajków (ur. 1856 r.). Ślub zawarli w Urzędowie 29 sierpnia 1889 r. Z tego małżeństwa urodziła się córka Zofia, która żyła 18 lat. Syn Ignacego Brożka, Konstanty, gospodarował w Kozarowie. Łączny obszar gospodarstwa Ignacego i Konstantego wynosił w 1906 r. 36 mórg (20,16 ha). Ignacy zmarł w roku 1917 i pochowany jest w Bobach. Konstanty i Feliksa Brożek posiadali ośmioro dzieci. Ich dziećmi byli synowie – Waclaw, Józef, Stanisław i Antoni oraz córki – Bolesława, Janina, Marianna, Helena. W Urzędowie zamieszkiwali również Brożkowie z linii młodszej wywodzącej się od Antoniego Brożka urodzonego w Urzędowie około 1749 r.

Z historii wynika, że mieszkańcami Kozarowa byli gospodarze w dużej mierze z Urzędowa. Warunki były sprzyjające – w wyniku likwidacji folwarków w Kozarowie, Konradowie, Metelinie, Białowodzie, a także parcelacji folwarków w Chruślinie, Wierzbicy i Okręglicy, zakupu ziemi dokonywali rolnicy z Wierzbicy, Moniak, Bobów, Chruśliny i Granic. Mieszkańcy Kozarowa i Kozarówka byli to rolnicy zamożni, wyróżniający się spośród rolników z sąsiednich wsi. W parafii Boby zamożnością mogli rywalizować z rolnikami z Wandalina, Białowody, Owczarni i Chruśliny. Gospodarze z Kozarowa byli zaradni, postępowi, chętnie korzystający z nowinek technicznych niezbędnych do uprawiania ziemi i zbioru upraw, dbający o dobrą uprawę pól i hodowlę zwie-

rząt domowych. Przykładem był dziadek – Konstanty Brożek, który jako pierwszy we wsi miał konną żniwiarkę do koszenia zbóż, zakupioną w 1926 r. Ta żniwiarka służyła Brożkom do roku 1960. Posiadali piękne, silne konie wykorzystywane do prac polowych, jak i parę koni tylko do przejazdów konnych lekkimi pojazdami i wierzchem.

W okresie mojego dojrzałego życia, jeżdżąc po województwie lubelskim w niektórych dużych wsiach (biłgorajskie, zamojskie) spotykałem ludzi siedzących na ławkach przy swoim gospodarstwie przy drodze. Takiego widoku nie spotykałem w Kozarowie, jak i innych wsiach gminy Urzędów. Po prostu ci rolnicy nie mieli na to czasu, pilnowali i pracowali dla dobra swoich rodzin. Dzieci również od najmłodszych lat były angażowane do prac odpowiednich do ich wieku. Spotkań z sąsiadami nie było, natomiast rolnicy spotykali się ze swoimi znajomymi, a najczęściej z kuzynami, którzy przyjeżdżali z innych miejscowości lub oni jeździli tam.

Z opowiadań rodzinnych, a później z moich obserwacji wynika, że najczęściej się spotykali podczas odpustu w Bobach lub innych parafiach. Rodzina Brożków i moja gościła dalsze rodziny z Urzędowa. W latach siedemdziesiątych XX wieku wspominał gościny w Kozarowie przed II wojną światową i w latach czterdziestych Wiesiek Kaczmarzki, syn mojej ciotki Janiny z Brożków, który w tamtych latach mieszkał w Dzierzkowicach. Rolnicy gospodarujący w Kozarowie, a wywodzący się prawdopodobnie z Urzędowa, to rodziny Golińskich, Winklerów, Wojtuszkiewiczów, Grudzińskich. Według mojej pamięci z tamtych lat mieli bliskich w Urzędowie. Mama często mówiła o wuju biskupie Golińskim (kuzynostwo z Brożkami). Wymieniając kuzynów, mówiła o rodzinach Brożków, Gruchalskich, Kuśmiderskich, Więckowskich, Toporskich (akuszerka), Golińskich, Ambrozkiewiczów. Innych już nie pamiętam. Brożkowie to kuzyni ze strony Ignacego i Konstantego Brożka, a pozostali to od babci Brożek – Feliksi Magdaleny, córki Antoniego Więckowskiego i Marianny z domu Gruchalskiej, córki Franciszka Gruchalskiego.

Urzędów dla Kozarowa i okolicznych wsi parafii Boby był ośrodkiem przemysłowo-przetwórczym do zaopatrywania mieszkańców w różne wyroby i urządzenia niezbędne w gospodarstwie. Zaopatrywaliśmy się u bednarzy z przedmieścia Mikuszewskiego w beczki drewniane służące do przechowywania niektórych przetworów (kapusty, ogórków, mięsa itp.), beczulki na zboże, u kowali z kuźni usytuowanej na początku Bęczyna w wyroby kowalskie, u urzędowskich garncarzy w wyroby gliniane, garnki, dzbany. W latach pięćdziesiątych mama zamawiała nowy wóz konny – uniwersalny do przewozu osób, drobnicy, gnoju i części specjalne do przewozu snopów w czasie żniw. Kupowała różnego rodzaju wyroby garncarskie z gliny wypalane w Bęczynie. Młyny w Urzędowie i w Bęczynie – to mąka i chleb codzienny w gospodarstwie.

W okresie I wojny światowej, gdy Kozarów był otoczony liniami frontu, z jednej strony wojska austro-węgierskie i niemieckie, a z drugiej armia rosyjska, moja mama miała 8 lat. Linie obronne i linie do przeprowadzania ataków były rozciągnięte na dużych przestrzeniach. Fronty

przesuwały się ciągle. W roku 1915 Urzędów i okolice Urzędowa, a także wsie parafii Boby – Moniaki, Boby, Kozarów, Mikołajówka znalazły się w samym środku walk, które wielokrotnie przesuwały się. Z tego względu miejscowości te mocno ucierpiały. Ludność w czasie ataków artyleryjskich chroniła się w kościele, a z Kozarowa życie przeniosło się w wąwozy zgrupowane w zachodniej części wsi. Gdy zaczynała się strzelanina, uciekali w wąwozy, kryjąc się w różnych „bunkrach” przygotowanych na tę okoliczność. Tam przeniosło się życie wsi w tym okresie. Mama opowiadała, że gdy ucichły walki na krótki czas, jedna gospodyni poszła do swojego gospodarstwa. Chciała upiec chleb dla rodziny. Austriacy zobaczyli dym, myśleli że do wsi dostali się Rosjanie i rozpoczęli ostrzał artyleryjski, skupiając się na dymiącym kominie. Spaleniu uległo kilka budynków. Gospodyni szczęśliwie uciekła do wąwozu, ale bez chleba. W następnym okresie mieszkańcy Kozarowa, jak również rodzina Brożków, zostali przekwaterowani do miejscowości Granice. Konstanty Brożek w czasie przesiedlenia stracił dwa dobre konie. Rosjanie wymienili je na wymęczone i wyniszczone konie, które w krótkim okresie padły.

Trzydzieści lat później, z końcem lipca 1944 r. ludność Kozarowa została zaskoczona najazdem przez pola od strony północnej (od Świdna, Chodla) armii radzieckiej poruszającej się wszelkiego rodzaju pojazdami mechanicznymi. Za wojskowym sprzętem zmechanizowanym pojawiły się całe masy taborów konnych. Wojska zmechanizowane pojechały na Józefów nad Wisłą. W Kozarowie na dłużej zatrzymały się tabory konne. Rosjanie uzupełnili paszę dla swoich koni z pól rolników Kozarowa, Moniak, Bobów. Front nad Wisłą zatrzymał się na dłużej, bo trwał od sierpnia 1944 do stycznia 1945 r. W tym okresie w Kozarowie częste były odwiedziny różnych żołnierzy Armii Czerwonej. Różne były powody tych odwiedzin. W okresie żniw i jesienią po karmę dla koni z taboru wojskowego (zboże, koniczyna itp.). Zdarzało się zabieranie rolników z wozami konnymi do prac przy budowie okopów i innych fortyfikacji. Były wizyty bardziej niewinne prowadzące do kontaktów towarzyskich, różnego rodzaju wymiany towarów najczęściej za samogon. Młodzi chłopcy otrzymywali amunicję. Rzucając ją do ogniska powodowali wybuchy. Wojenne zabawy.

Na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. w gospodarstwie mojego ojca Bolesława Górskiego i Marianny z d. Brożek pojawił się samochód wojskowy z kilkoma enkawudzistami. Zabrali z pola w Kondratowie mojego ojca Bolesława Górskiego, a z Bobów Aleksandra Komzę syna Katarzyny z domu Brożek córki Ignacego Brożka, siostry Konstantego Brożka. Nie podali przyczyny aresztowania, ani miejsca wywiezienia. Po prostu odjechali. Po kilku dniach ojciec pokazał się w domu. Był pobity, ubranie miał podarte, był boso. Był więziony w obozie tymczasowym zorganizowanym przez NKWD na terenie byłego Obozu Koncentracyjnego na Majdanku. Został aresztowany, bo należał do AK. Uciekł z Majdanka wraz z Aleksandrem Komzą i polami z Lublina dotarł do Kozarowa. Po kilku dniach ponownie został aresztowany przez NKWD, ale tym razem nie został uwięziony na Majdanku, lecz został wcielony do 2 Armii Wojska Polskiego dowodzonej

przez gen. Karola Świerczewskiego. Służył w trzynastym głównym magazynie żywnościowym. Przez wiele lat było dla nas zagadką – jak to się stało, że podczas pierwszego aresztowania – obóz i pewny wywóz na Syberię, a po drugim aresztowaniu wcielenie do Wojska Polskiego. Po roku 1990 publikowane dokumenty odkrywają „tajne” sprawy. Po wkroczeniu Armii Polskiej na byłe tereny II Rzeczypospolitej, w jej szeregach nastąpiły duże ubytki żołnierzy w wyniku rosnącej fali dezercji. Była pilna potrzeba uzupełnienia stanu osobowego. Porozumienie dowódców wojskowych ze strony polskiej z przedstawicielami Armii Czerwonej pozwalało wcielać takich ludzi na okres wojny do wojska. Tym bardziej, że ojciec przed wojną służył w wojsku w stopniu kaprała do 1926 r. Gdy Berlin został zdobyty, w armii gen. Świerczewskiego pojawili się przedstawiciele NKWD po akowców będących w wojsku polskim. Ojciec ostrzeżony przez swoich przełożonych (rosyjskich) ponownie zdezerterował z wojska. W ten sposób wrócił do podziemia, z AK do WiN pod komendę majora Hieronima Dekutowskiego „Zapory” – mianowany na komendanta placówki Boby od Józefowa po Urzędów. Ujawnił się w marcu 1947 r. przed Komisją w Kraśniku. W październiku 1949 r. mimo prowokacji UB i komendy MO w Kraśniku (podłożenie broni) uniknął aresztowania, ukrywając się do sierpnia 1953 r. Aresztowany, był uwięziony na Zamku Lubelskim, torturowany, skazany wyrokiem Wojskowego Sądu w Lublinie na 15 lat. Wyrok na podstawie Ustawy o amnestii z 1956 r. został zmniejszony i z więzienia został zwolniony w sierpniu 1958 r. W czasie ukrywania się dużą pomoc otrzymywał od mieszkańców takich wsi, jak Wandalin, Chruślina, Owczarnia, Mikołajówka i niektórych z Konradowa. Dużo pomocy i wsparcia miał od kolegów z dawnych organizacji, jak i innych mieszkańców Urzędowa. W leczeniu poważnych ran postrzałowych, odniesionych podczas potyczki z żołnierzami KBW i UB pod Józefowem nad Wisłą, pomocy udzielał doktor Woś. Leczył się w Urzędowie – ukrywająca go i pomagająca mu pani mieszkała przy samym rynku przy ulicy przebiegającej od młyna Pomykalskiego i skręcającej w lewo w rynek. Niestety, nie pamiętam nazwiska. Inni z Urzędowa i Bęczyna: rodzina Wacława Gruchalskiego, pan Paszkowski, Jan Surdacki pseudonim „Pręt” – ukrywał Bolesława Górskiego na strychu obory pod lasem na końcu Bęczyna przy skrócie na Moniaki. Bratanek Jana Surdackiego „Cygan” był razem z moim ojcem, Bolesławem Górskim, w oddziale Hieronima Dekutowskiego „Zapory”. W latach 1945–1946 często spotykali się w Kozarowie.



Bolesław Górski

O książce

Zdzisław Górski, *Z Kozarowa w nieznane*, Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2020.

Z Kozarowa w nieznane autorstwa Zdzisława Górskiego to książka biograficzna. Zdzisław Górski, syn partyzanta oddziału „Zapory” Bolesława Górskiego „Podkowy” i Marianny z domu Brożek, urodził się w 1937 r. w Kozarowie.

Dzieciństwo spędził w Kozarowie i Konradowie – wsiach położonych niedaleko Urzędowa. Lata szkolne przypadają na okres odtwarzania szkolnictwa w powojennej Polsce. Uczęszczał do szkół zlokalizowanych w Bobach, Metelinie, Lublinie, Bełżycach. Ukończył Liceum Ogólnokształcące w Świdniku. Jest absolwentem Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Krakowie, którą ukończył w 1968 r., uzyskując tytuł magistra ekonomii. Długoletni pracownik budownictwa, administracji rządowej i samorządowej na szczeblu województwa. W okresie trzydziestu lat pracy w budownictwie przeszedł drogę awansu zawodowego od stanowiska magazyniera do stanowiska dyrektora naczelnego. Pracował m.in. w LPB, LPBP, Zjednoczeniu Budownictwa Przemysłowego „Wschód”. W LPB i „Przemysłowce” był zastępcą dyrektora naczelnego, w „Elektromontarzu” pełnił funkcję dyrektora naczelnego. Następnie przez 10 lat pracował w Urzędzie Wojewódzkim i Urzędzie Marszałkowskim w Lublinie na stanowisku dyrektora wydziału i w jednostkach podległych marszałkowi na stanowisku dyrektora naczelnego oraz likwidatora.

Książka *Z Kozarowa w nieznane* to książka biograficzna. We wprowadze-

niu Zdzisław Górski przedstawia korzenie dwóch rodzin powiązanych z Urzędowem oraz opis i usytuowanie wsi ich zamieszkania. Daje podstawy poznania genealogii i koligacji rodzinnych Brożków i Górskich oraz historii i dziejów wsi Kozarów, Konradów, parafii Boby. W książce wyraźnie zaznaczone są okresy życia autora. Wspomnienia dzieciństwa opisuje ze szczerością dziecka, bez fałszu i zakłamań. Nie zapomina o represjach ze strony UB, które na stałe są wplątane w życiorys syna partyzanta AK z oddziału „Zapory”. Uderza rzetelność i otwartość bijąca z każdego zdania wspomnień z okresu wojska i pracy zawodowej. Przedstawia pracę przedsiębiorstw z perspektywy fotela dyrektorskiego z uwzględnieniem następujących w kraju przemian gospodarczych. Wiele z tych przedsiębiorstw już nie istnieje, wszystkie przeszły reorganizację i przekształcenia. Poznajemy ich los opisany dojrzałym i przemyślanym wyrazem wieloletniego pracownika budownictwa, który rozwijał ich działalność w latach 1960–1990, a następnie w latach 1994–2004 jako dyrektor wydziału UW i UM reorganizował i likwidował. Na tle przemian społeczno-politycznych zachodzących w kraju

Zdzisław Górski przedstawia poruszającą historię pokonywania licznych przeszkód dnia codziennego okresu gospodarki socjalistycznej. Książka jest ważnym źródłem do poznania wielu aspektów istnienia, działania i historii tych przedsiębiorstw. Rzuca też światło na „zapomniani i przemilczani rozdział” przeszłości i opowiada poruszającą historię rodziny

prześladowanej za patriotyzm oraz wolę walki z okupantem, zarówno tym z lat 1939–1945, jak i z okresu powojennego Polski Ludowej. Książka pełna ciepła i podziękowań dla osób, które autor poznał w swoim życiu, jak i dla tych, którzy pomagali w przetrwaniu ciężkich lat terroru NKWD, aparatu SB i władzy ludowej.

Stanisław Gajewski

Upragnione odwiedziny

My Polacy jesteśmy narodem odważnym i wędrownym, od wieków gnębionym przez najeźdźców, przez to niezbyt zamożnym. Warunki te przymuszają nas do szukania chleba poza granicami kraju. Wielu Polaków wyjechało za zarobkiem do Ameryki i do innych państw. W czasach rządów cara w Rosji kraj ten był bogaty, więc i tam Polacy jechali. Tak też pojechał za groszem do Rosji urzędowianin Jan Rzepecki. Dostał pracę w Moskwie, w zakładzie, gdzie szyto rękawice skórkowe. Zakład nie był związany z polityką, kiedy wybuchła rewolucja istniał nadal, a Rzepecki dalej w nim pracował. Po latach zapragnął odwiedzić Polskę i dawno nie widzianą rodzinę. Za panowania Stalina było to nie do pomyślenia. Dopiero za rządów jego następców, Rzepecki mógł czynić starania, aby odwiedzić rodzinę w Polsce. Starania trwały latami. W Związku Radzieckim, aby odwiedzić inną miejscowość, trzeba było mieć pozwolenie. Żeby pojechać do innego miasta to konieczne były wielkie starania i już interesowało się tym NKWD. Po wielkim i ciężkim śledztwie otrzymał pozwolenie. Daty nie pamiętam, ale był to koniec lat pięćdziesiątych lub początek sześćdziesiątych, kiedy przyjechał do Polski. Jak podróżował?

Na pewno pociągami. Przyjechał na stację kolejową w Kraśniku. Mimo że ciężko mu było mówić po polsku, to bardzo często pytał o dalszą drogę. Przy dworcu PKP stał autobus, który miał jechać do Kraśnika Fabrycznego. Przy pomocy informacji pasażerów Rzepecki przyjechał do Kraśnika Fabrycznego. Pyta o Urzędów. Ludzie chętnie informują, że do Urzędowa jest niecałe 5 kilometrów. Są połączenia komunikacyjne, ale przybysz decyduje się iść pieszo, mimo że ma ponad 70 lat. Po drodze kogo widzi, pyta o drogę i otrzymuje uprzejme informacje. Przeszedł do Urzędowa i żeby upewnić się, czy władze mu nie przeszkodzą, idzie na posterunek milicji i pyta o drogę do brata Władysława na Zakościelnym. Władysław Rzepecki, spodziewając się brata, zamówił orkiestrę dętą pod dyrekcją Józefa Łukantego na powitanie dalekiego gościa z Rosji oraz zaprosił całą rodzinę pochodzącą z Rzepeckich. Wcześniej zabił tucznika, wyrobił wędliny, kobiety napiekły ciast, przygotowały potrawy jak na wesele. Jan Rzepecki wchodzi na posterunek milicji w Urzędowie. Milicjanci witają gościa, częstują herbata, a następnie zapraszają do odkrytego samochodu i wiozą do brata Władysława na Zakościelne.

Gdy samochód z przybyszem wjechał na podwórze, chmara ludzi wita gościa, a orkiestra rżnie marsza.

Z wielkiej uciechy łyży na policzkach, uściski, pocałunki. Jan nie wierzy własnym oczom. Po powitaniach Władysław zaprasza za stoły. Siadają, milicjanci także. Stoły uginają się od zastaw, wędlin, pełne półmiski mięs. Zaczynają się toasty, rozbrzmiewa „Sto lat”. Stukają się kieliszkami, sięgają i do Jana. Gość nie wie, jak się zachować, wołałby tu nie być. Gorące potrawy, a jakie smaczne. Jan je bo jest głodny, takich potraw nie jadł w Rosji. W głowie mu się nie mieści, wydaje mu się, że śni. Milicjanci stukają się kieliszkami z gośćmi, sięgają do Jana. Jan Rzepecki wie co to milicjant w Rosji, to NKWD-dzista, do którego nie wolno się odezwać, jak do dzikiego zwierza. A w Polsce milicjant pije wódkę z ludźmi, nie do wiary. Orkiestra przygrywała ze dwie godziny i odjechała, razem z nią milicjanci. Gościna trwała do późnego wieczora. Gościowi pościelono czystość posłanie na łóżku w osobnym pokoju. Położył się spać, ale ma przedziwne sny.

Rano wstał, ubrał się i wyszedł na podwórze. Brat z żoną robili obrządki w oborze. Jan nie przeszkadzał. Kiedy zostali obydwaj sami, Jan bardzo ostrożnie, półgłosem pyta Władysława: „Ile ty za to przyjęcie zapłacisz?”. Zdziwiony pytaniem Władysław mówi: „Bracie, to wszystko moje, ja nikomu za nic nie będę płacił”. Władysław wprowadza brata do obory i mówi: „Patrz, to moje krowy, mój koń, moje świny. Przed Twoim przyjazdem zabiłem prosiaka, wyrobiłem wędliny, z mojej mąki żona napiekła placków. To wszystko moje”. Brat Jan po prostu nie wierzy. W dalszej rozmowie Jan opowiada bratu, jak jest w Rosji. Jak ktoś chce zrobić przyjęcie, to przyjeżdża komisja, pyta ile ma być osób, obliczają ile deko na osobę, przywożą potrawy, a zamawiający podpisuje weksel i po przyjęciu musi bardzo drogo zapłacić lub długi czas odrabiać. Na podobne zamówienie stać tylko wysoko postawioną osobę, nie zaś zwykłego obywatela. Jan Rzepecki przywiózł ze sobą niedużą walizkę. Na prośbę brata Władysława, Jan ją otworzył. Była ona pełna konserw różnego rodzaju, mięsnych, rybnych i innych. Jan oświadczył, że przywiózł konserwy dla siebie i dla przyjmujących go, bo w Polsce jest wielka bieda, więc żeby mieli razem co jeść.

Jan przebywał u rodziny Rzepeckich przez cały tydzień, nie otwierając konserw. Zapraszany był do członków rodziny. Miał dwie siostry i trzech braci. Kiedy wyjeżdżał do Rosji, rodzeństwo było jeszcze dziećmi, teraz wszyscy mieli siwe głowy. Żyją bracia Franek i Wła-

dek, a Staśka i jego syna zabili Niemcy. Odjeżdżając, Jan zostawił rodzinie na skosztowanie kilka konserw, a resztę zabrał na podróż. Jan Rzepecki wrócił do domu w Związku Radzieckim, ale czy dojechał na miejsce nie

wiadomo, bo już nie korespondowali. Rodzina w Polsce bała się o Jana, czy dojechał żywy, czy może trafił do więzienia, żeby nikomu nie opowiedział o warunkach w Polsce.

Zygmunt Krasiński

Opowieści rozmaite

Szybowiec w Urzędowie

W roku 1936 czy 1937 przyleciał do Urzędowa szybowiec. Wylądował na polu, od południa za wałami. Pilot szybowca wysłał telegram do Dębina, że jest w Urzędowie i zakwaterował się u aptekarza Sawy. Gdzieś za dwa dni przyleciał samolot dwupłatowiec, który wylądował w pobliżu szybowca. Pilot samolotu także zatrzymał się u państwa Sawów. Zaproponował pani Sawinie, że ją przewiezie samolotem, która na ten przelot się zgodziła. Oblecieli Urzędów ze dwa razy, ale kiedy już zniżali się do lądowania, brzuch pani Sawy nie wytrzymał. Mówili o tym koledzy z miasta i starsze osoby.

Odlot samolotu z szybowcem z miejsca lądowania nie był możliwy. Dookoła były wąskie pola z miedzami. Piloci zdecydowali przenieść szybowiec na niwę w Skorzcycach, gdzie było ściernisko i nie było miedz. Rozmontowali szybowiec, osobno skrzydła, osobno kadłub. Zebrało się dużo ciekawskich ludzi, niemal jak na pogrzebie. Wzięli szybowiec na ramiona, jak trumny i ponieśli polną drogą, tzw. poprzeczką, ponad trzy kilometry, do miejsca, gdzie dzisiaj mieszkają Stępnia i Józefa Wilkos. Tu czekał już samolot i duża grupa ciekawych ludzi. Kiedy przyniesiono rozmontowany szybowiec, piloci przykręcili skrzydła do kadłuba i przypięli maszynę linką do samolotu. Po chwili pilot podszedł do śmigła, szarpnął raz, drugi. Za trzecim razem silnik zapalił. Pilot wsiadł do kabiny samolotu, a pilot szybowca kazał nam trzymać szybowiec do momentu, aż samolot nabierze dużych obrotów. Kazał trzymać jeszcze trochę, aż krzyknie: „Puścić”. Kiedy puściliśmy, samoloty ruszyły z miejsca i po kilkunastu metrach wzniosły się do góry. Zakrążyły jeszcze nad nami i poleciały na północ, w kierunku Dębina. Myśmy się rozeszli do swoich domów.

Strzelanie z armat

W pierwszą rocznicę okupacji, w roku 1940 Niemcy urządzili strzelanie z armat. Strzelanie miało miejsce nad Zakościelnym, od Psiej Górki w stronę rynku, około 0,5 km i przez przedmieście Góry. Na dzień strzelania mieliśmy się ewakuować, tam gdzie kto mógł. Ja z całą siedmioosobową rodziną wsiadłem na wóz, krowy przywiązaliśmy z tyłu i pojechaliśmy do Skorczyc, do gospodarstwa rodziców Domina Żubra. Dzień był ciepły, nie byliśmy głodni, bo pani Żubrowa ugotowała dla nas obiad, mieliśmy też ciepłe mleko od krow, które były z nami. Wojsko niemieckie ustawiło armaty pod choinami, przy

granicy z fabryką. Od rana rozpoczęło się strzelanie do tarcz ustawionych na polu Dziurdów przy skorczyckim lesie. Było to pierwsze pole od północy Gór. Kule armatnie przelatywały około 5 km, ponad naszymi budynkami. Strzelali prawie cały dzień. Na wieczór zarówno ja, jak i inni gospodarze wróciliśmy do domów. Miałem wtedy 14 lat i wszystkiego byłem ciekaw. Na drugi dzień poleciałem pod las zobaczyć miejsce, gdzie stały okopane armaty, a później pod las skorczycki zobaczyć powyrywane przez pociski leje na polu Dziurdów.

Jak kupowałem Syrenkę w stanie wojennym

Jakieś półtora roku przed stanem wojennym sprzedałem stary samochód marki Volkswagen. Bałem się nim jeździć, żeby się nie przelamał, bo rama była przedziewiała. Pieniądze wpłaciłem na Syrenkę Bosto, bo to taka mała bagażówka, a cech dawał talony dodatkowe do limitu na bagażówki, ale na samochód trzeba było czekać. Kiedy usłyszałem w telewizji gen. Jaruzelskiego ogłaszającego stan wojenny, pomyślałem – teraz nie mam ani samochodu, ani pieniędzy. Na wiosnę, kiedy był jeszcze stan wojenny otrzymałem zawiadomienie z konkretną datą, żeby przyjeżdżać do Włocławka po odbiór samochodu. Wybraliśmy się z zięciem dzień wcześniej pociągiem do Torunia, do rodziny, gdzie przenocowaliśmy. Rano pociągiem, jeszcze ze szwagrem, pojechaliśmy do Włocławka. We Włocławku znaleźliśmy hurtownię, wybraliśmy samochód, załatwiliśmy papiery, bak Syrenki zatankowaliśmy do pełna i koło południa ruszyliśmy – my w stronę domu, a szwagier do Torunia. Wiemy, że benzyny nie starczy do Kraśnika czy Urzędowa. Niedaleko Radomia był czynny CPN, sprzedali nam benzynę bez kartek, jako że do nowego samochodu. Mieliśmy skręcać na Puławy, ale zobaczyliśmy grzejących się przy ognisku milicjantów, więc pojechaliśmy na Anopol. Ujechaliśmy z pół kilometra, znów grupa milicjantów grzeje się przy ognisku. Zatrzymują nas, jeden sprawdza papiery, z którymi odchodzi do ogniska. Jeszcze na dodatek spaliła się prawa żarówka. Po jakichś 10 minutach mówię do zięcia: „Pójdę do nich”. Poszedłem i mówię: „Oddajcie nam papiery, bo kiedy my dojedziemy do Kraśnika? A tu wnet godzina milicyjna”. Oddał mi papiery i pojechaliśmy dalej. Na moście w Anopolu ktoś jeden znowu chciał nas zatrzymać, mówię do zięcia: „Gazu i omijaj go”. Szczęśliwie dojechaliśmy do domu przed godziną milicyjną.